WARSZAWA | KRAKÓW | GDAŃSK | WROCŁAW mordorvoice.pl 70000 egz.

Mordor Voice

05
2017

Jedyna ogólnopolska i bezpłatna gazeta dla pracowników korporacji

Okładka autorstwa:
Augustyniak Sebastian
tel. 665-977-856

Definicja Mordoru według Mordor Voice *- kraina płynącą nadgodzinami, permanentnym stresem, wiecznie goniącymi deadline'ami i asapami. Kraina, którą się kocha lub nienawidzi. Kraina absurdów życia w szklanych biurowcach. Poza całym jej złem to także kraina perspektyw, awansów, dobrych zarobków oraz stabilnej pracy.*

Mordor to nie miejsce, to stan umysłu!

Mordor na warszawskim Służewcu. Prawdziwe centrum biznesowej Polski, siedziba menadżerskiej elity, chluba warszawskiego hiperkapitalizmu, ziemia obiecana każdego studenta, mekka krajowych pracoholików, jedyny w swoim rodzaju rajski kompleks biurowców. Czy tak właśnie?

Szanowny Korpoludziu, przez ostatnie lata nasi redaktorzy prężnie przyglądali się życiu w stołecznym skupisku biurowców. Deliberując nad blaskami i cieniami tej warszawskiej korpoegzystencji i reagując na głosy ze wszystkich zakątków korporacyjnej Polski, doszliśmy do wniosku, że Mordor nie kończy się na stolicy. „Mordorowość" zalewa nasz kraj, a Mordor to tak naprawdę stan umysłu! Wszędzie tam, gdzie w chmury pną się wielkie szklane biurowce, wszędzie, gdzie korporacje ciasno upychają tysiące swoich pociesznych pracowników, gdzie te biedne mróweczki całym swym serduszkiem nienawidzą i kochają korpomatkę – tam właśnie jest Mordor. I tam właśnie „Mordor Voice" rozbrzmiewać powinien!

Wybraliśmy się na badania terenowe po największych skupiskach biurowców w Polsce, by wyszukać te, gdzie pracują ludzie, których łączą te same problemy i paradoksy życia codziennego, podobne poczucie humoru i rozterki. Efekt tych poszukiwań, Droga Korposiostro i Drogi Korpobracie, trzymasz w swych dłoniach. To „Mordor Voice", tuba korporacyjna czterech miast Polski.
Witajcie Szanowne Mordory!
Witajcie Korpoludki Polskiej Ziemi!

Naszą podróż, zaczynamy od Pomorza, a konkretnie od Mordoru przy Grunwaldzkiej w Gdańsku Oliwie. Używając oficjalnej nomenklatury – w Olivia Business Center. Ten nowoczesny kompleks biurowców już przeszło pięć lat rozbudowuje się w centrum miasta. Obecnie, od poniedziałku do piątku, kieruje tam swe kroki ponad 8 tys. korpoludziów, lecz liczba ta rośnie niemal każdego dnia i ma rosnąć coraz szybciej. OBC dostarcza dziś 73 tys. mkw. powierzchni biurowej (a docelowo – 170 tys. mkw.(!), co czyni go największą tego typu inwestycją w północnej Polsce). Na terenie OBC wznosi się 6 nowoczesnych wieżowców, z których najbardziej wyróżnia się Olivia Star – 180 metrowy kolos (35 kondygnacji nadziemnych i 3 podziemne), na którego ostatnim piętrze można zobaczyć całą Zatokę Gdańską, a nawet Gdynię (budowla będzie oddana do użytku wiosną tego roku). Jednak i pozostałe, już funkcjonujące biurowce robią wrażenie, a ich wnętrza zajmuje aż 110 firm. Wszystko nowoczesne, dobrze zorganizowane i imponujące. Ale czy rzeczywiście „mordorowe"?

O opinię poprosiliśmy Martę, która dwa lata temu zmieniła miejsce zamieszkania z Warszawy na Gdańsk, a miejsce zatrudnienia z Domaniewskiej na OBC.
– Przeprowadzka nad morze była najlepszą decyzją w moim życiu – stanowczo twierdzi Marta. – W warszawskim Mordorze pracowałam przez pięć lat. Głównie z tego powodu, że do stolicy wyjechałam na studia i jakoś już się zżyłam z tym miastem. Gdy okazało się, że firma, w której pracuję, otwiera siedzibę w moim rodzinnym Gdańsku, postanowiłam wrócić na stare śmieci. Cóż, w Trójmieście wiele osób na oliwskie korpo mówi „Mordor" i ja też tak mówię z przyzwyczajenia, lecz w rzeczywistości gdańskie skupisko biurowców nie ma nic wspólnego z tym warszawskim. Kiedy na Domaniewską jechałam pociągiem, przed podróżą wypijałam szklankę melisy i godzinę przed rozpoczęciem pracy byłam już na peronie. Teoretycznie przejazd trwał 20 minut, ale często pociąg po prostu nie przyjeżdżał i trzeba było to brać pod uwagę. Kiedy jechałam samochodem, to wyruszałam prawie dwie godziny przed pracą, bo inaczej po prostu nie znalazłabym miejsca do zaparkowania. Natomiast przy Grunwaldzkiej miejsca są zawsze, korki dziesięć razy mniejsze niż w Warszawie, a dojazd np. SKM to bajka w porównaniu do stolicy. Poza tym w Oliwie jest zieleń, jest czym oddychać, wszystko jest nowe i idąc między biurowcami nie trzeba się bać, że ktoś cię staranuje. Praca tu, to zdecydowanie „slow korpo". Zatem polecam – pointuje Marta.

W naszej podróży przenosimy się na południe. Konkretnie do Małopolski. Tam, w podkrakowskim Zabierzowie, już od 1997 funkcjonuje Kraków Business Park, gdzie w każdy dzień roboczy zmierza około 6 tys. pracowników (docelowo 15 tys. zatrudnionych). Jest to jeden z

najstarszych Mordorów w Polsce. Jednak w przeciwieństwie do warszawskiego kompleksu, krakowski został zaprojektowany z myślą o usytuowaniu tam skupiska biurowców.

Krakowski Mordor jest położony 13 kilometrów od centrum, posiada duży parking, prywatną stację kolejową, docelowy przystanek autobusowy, od autostrady i lotniska dzieli go 5 kilometrów, a wokół rozciągają się tereny zielone. Kompleks posiada ponad 50 tys. mkw. standardowych powierzchni biurowych.

Dzień krakowskiego korpoludka opisuje Marek, pracownik IT, który już od 6 lat ma swój „drugi dom" na Zabierzowie.

– Żeby dotrzeć na czas do pracy, musze wyjechać około godzinę przed „podbiciem karty na zakładzie". Oczywiście wszystko zależy od zmiany, bo w godzinach szczytu przejechać przez Kraków lub wokół niego autem, to istny dramat. Przez całą zimę dodatkowo mamy tu największy poziom smogu w kraju. Wiele osób może pomyśleć, że jak codziennie jedziesz obwodnicą do pracy, to musi być szybko i spokojnie. Niestety, nie jest tak. Czasami jest szybciej, czasami wolniej, bo prawie zawsze są

jakieś utrudnienia, wypadki itd., szczególnie przed weekendem. A poza tym nic tak nie pobudza, jak jazda 100 km/h przepełnioną trójpasmówką, zderzak przy zderzaku. Dramat – podsumowuje Marek.

Nieco inną wizję Zabierzowa ma Joanna, która trafiła tam prosto z Domaniewskiej.

– Na Domaniewskiej pracowałam przez dwa lata, później dałam za wygraną. No i Kraków wydawał się miejscem, gdzie będę się mogła odprężyć po Warszawie. Zresztą, gdy mieszkałam w stolicy, przyjeżdżałam tu na prawie każdy długi weekend. Było tu bardzo spokojnie. Zupełnie inny klimat. Po przeprowadzce do Krakowa, pracę znalazłam praktycznie po tygodniu poszukiwań. Była to duża firma paliwowa, w której pracuję do dziś, czyli od 4 lat. Na początku zarabiałam prawie połowę mniej niż w Warszawie, ale spokojna atmosfera tego miasta wszystko mi wynagradzała. Krakowski Mordor mieści się kilkanaście kilometrów od centrum i gdy spojrzy się z mojego okna na zewnątrz, to widać zielone tereny i domki jednorodzinne. Mieszkanie natomiast wynajmuję w centrum, w starej kamienicy. Zatem w pracy zieleń, a w domu magiczny, stary Kraków. Z początku było wspaniale i nawet trudno mi było nazwać Zabierzów Mordorem, lecz gdy przyszła zima, to życie trochę się zmieniło. By dojechać na czas do mojego korpo, trzeba z Dworca Głównego wsiąść w pociąg, który jedzie jakieś 20 min. I nie byłoby w tym nic złego, gdyby nie fakt, że zawsze jest to stara, paskudna puszka, w której albo nie ma ogrzewania, albo grzeją tak, że można umrzeć. Ponadto obskurne, twarde siedzenia i kierunek „Oświęcim". Gdy przyszła zima i na rozklekotanym wagonie zobaczyłam ten napis, to przez pół dnia nie mogłam się uporać ze skojarzeniami. Poza tym, gdy w zimie pracuje się na takim zadupiu jak Zabierzów, to człowieka może szlag trafić. Ośnieżone pagórki, białe drzewka, cisza i spokój w domkach, a ty musisz zapieprzać przy kompie, czasem na dwie zmiany. To potrafi zdenerwować. Tej pierwszej zimy chciałam wracać na Służewiec! Jednak dziś jestem już przyzwyczajona, bo jeśli udało mi się oswoić warszawskie korpo, to dlaczego nie miałabym sobie poradzić z krakowskim? – pointuje Joanna.

Czy Zabierzów zasługuje na miano polskiego Mordoru nr 2? Trudno orzec, bo już w samym Krakowie funkcjonuje kilka podobnych, acz nowocześniejszych i raczej mniejszych biurowych skupisk, np. Ruczaj, miejscówka przy Armii Krajowej czy biurowce przy Al. Bora Komorowskiego.

Szanowny Korpoludziu, najmocniej o przełożenie swej „mordorowości" na papier i w sieć dopominali się pracownicy kompleksu biurowców we Wrocławiu, a konkretnie pracownicy Mordoru między ulicami Strzegomską a Klecińską. To tam mieści się m.in. Wrocławski Park Technologiczny oraz Wrocławski Park Przemysłowy. I myśmy tam byli, kawę na branczu pili, a cośmy widzieli i słyszeli, tośmy w tym tekście umieścili, dając wrocławianom laur „mordorowości" najwyższej klasy.

Obecnie we wrocławskim skupisku biurowców pracuje około 20 tys. osób i ta liczba cały czas rośnie. Na potwierdzenie można powiedzieć, że już w przyszłym roku do użytku zostanie oddanych 7 kolejnych biurowych olbrzymów. O opinię na temat „mordorowości" wrocławskiego kompleksu poprosiliśmy kolejną uchodźczynię z

warszawskiego Służewca.

– Myślę, że zdecydowanie można to nazwać namiastką warszawskiego Mordoru – mówi Dominika, która do stolicy Dolnego Śląska przeprowadziła się w zeszłym roku. – Zresztą co rusz w prasie pojawia się określenie „wrocławski Mordor", więc coś w tym jest. Po dwóch latach spędzonych przy Domaniewskiej, każde inne korpozagłębie wydaje się lepsze. Przede wszystkim Wrocław ma zupełnie inny klimat niż Warszawa. Również czuje się pośpiech, są korki, ale komunikacja miejska funkcjonuje lepiej, podobnie jak parkingi, ludzie są bardziej wyrozumiali i chyba bardziej odpowiedzialni. Dochodzę do wniosku, że pracuje się tu tyle samo co przy Domaniewskiej, ale dzięki lepszej organizacji i innemu nastawieniu ludzi, nie ma tu takiego bałaganu i stresu jak w stolicy. Oczywiście rodzimi wrocławianie narzekają i mówią, że ta dzielnica to prawdziwe piekło, ale zmieniliby zdanie, gdyby zobaczyli, co się dzieje w Warszawie – dodaje z uśmiechem Dominika.

Podobne zdanie ma Piotr, rodowity wrocławianin, który przy Kalecińskiej przepracował łącznie prawie 3 lata. – Zdecydowanie Mordor. Wrocławski Mordor. Nie przepadam za tym miejscem, a z drugiej strony tak się do niego przyzwyczaiłem, że nie wyobrażam sobie pracy gdzie indziej. Tym bardziej, że Wrocław ma swój klimat, który też czuć w naszym Mordorze. Pracuje się na wysokich obrotach, atmosfera jest zawsze napięta, zawsze jest ordnung, lecz gdy przychodzi fajrant i już uda się stamtąd wyjechać, to ciśnienie opada i jest swojsko. Choć nadal myśli się o pracy – podsumowuje Piotr.

I tak to już jest, że jak wkroczy się do Mordoru, czy to w Warszawie, Gdańsku, Krakowie czy we Wrocławiu, to w Mordorze jest się już do końca. Bo Mordor to tak naprawdę nie miejsce. Mordor to stan umysłu.

#Derek Barłowski

Bierzcie i czytajcie zatem Mordor Voice.
Piszcie i mailujcie, opowiadajcie swoje historie,
wylewajcie żale i chwalcie się sukcesami,
bo Mordor Voice to gazeta tworzona przez korpoludzi
dla korpoludzi.

Redaktor Naczelna
Justyna Szawłowska

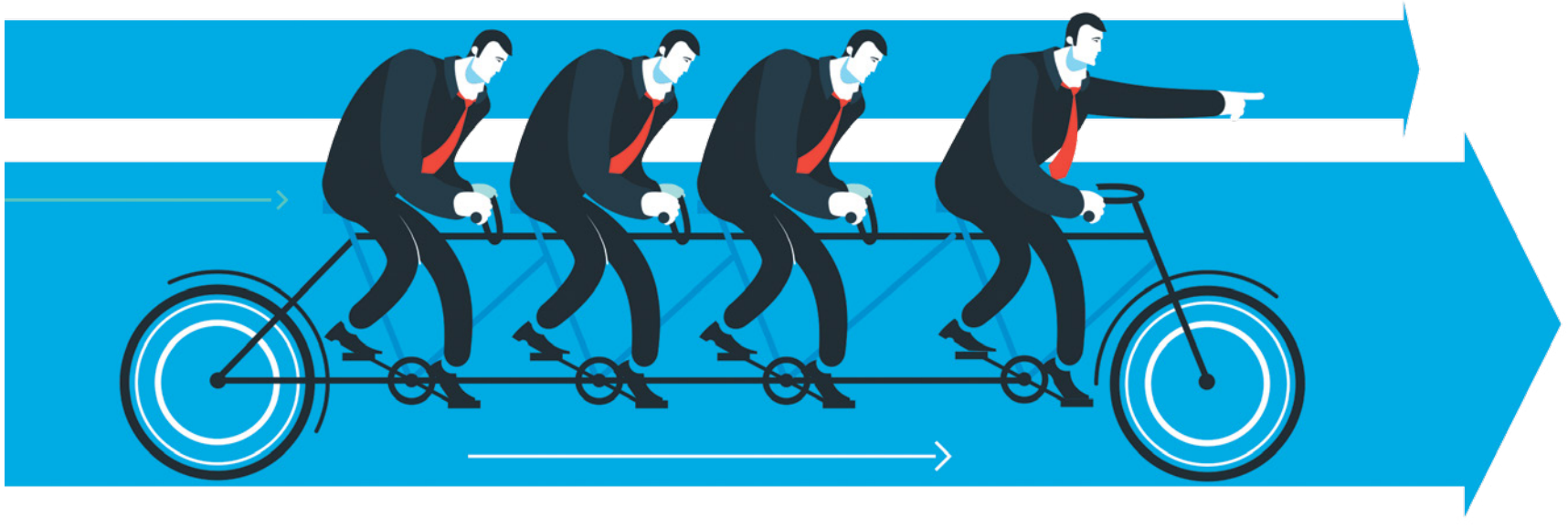

Biurowe standardy rowerowe

Coraz więcej korpoludków jeździ do pracy rowerem. Im bliżej lata i im częściej budzi nas słońce a nie budzik, tym więcej chętnych, by zamienić cztery koła na dwa. Firmy i zarządcy budynków doskonale zdają sobie z tego sprawę, ale dziś to już nie te czasy, w których rowerzyści ucieszyliby się z pierwszego lepszego stojaka przed budynkiem.

Stan idealny łatwo sobie wyobrazić. Dojeżdżamy do pracy wygodną, szeroką, wydzieloną drogą rowerową, z której intuicyjnie trafiamy do budynku wjazdem znajdującym się na poziomie ulicy – bez wjazdu pod górkę, zjazdu, o schodach nie wspominając. W środku czeka na nas odpowiednia liczba stanowisk, w których można zostawić rower bez strachu, że ktoś go ukradnie, potrąci czy zabrudzi. W dodatku, sam rower powinien swobodnie wyschnąć, jeśli pada deszcz lub śnieg. Na nas powinna czekać szatnia z prysznicami i z szafkami, w których można zostawić strój rowerowy, jeśli ktoś pedałuje w profesjonalnym outficie. A stąd już kilka kroków do windy, która zawiezie nas na odpowiednie piętro.

I wiele firm o tym wie. Stojaki rowerowe i miejsce na nie w garażu już nikogo nie dziwią. Ochroniarze już nie wyganiają rowerzystów, którzy ubłoceni pakują się do budynku. Łazienki z prysznicem stają się w każdym większym biurze równie powszechne, jak kuchnie. Ale diabeł tkwi w szczegółach.

– Niektóre rzeczy można zrobić bardzo łatwo. Zasugerowałem na przykład, żeby skrócić szlaban o metr. Dojazd do miejsca parkowania rowerów byłby ułatwiony, a pozostałym użytkownikom by to nie zaszkodziło. Brak reakcji. Jeżdżę więc przez furtkę dla pieszych – opisuje swoją drogę do pracy w jednym z biurowców na Służewcu Krzysztof, nasz czytelnik. – Wygospodarowanie miejsca w garażu dla rowerów to też problem. Na obietnicach się skończyło. Na zewnątrz są stojaki, ale jest ich zbyt mało. Latem są obwieszone rowerami, a zimą oblepiony błotem rower potrafi na zewnątrz po prostu zamarznąć – wylicza.

– Kolejny kłopot jest z prysznicami. Mamy trzy, ale zlokalizowane w toaletach dla niepełnosprawnych. Po przyjściu do pracy najlepiej posiedzieć na kibelku z nieodłącznym telefonem w ręku i wyciągniętymi nogami w toalecie dla niepełnosprawnych wzbogaconej prysznicem. Wyłania się z tego taki obraz, że niby wszystko jest, ale w szczegółach nie jest tak dobrze – podsumowuje.

Zadaszone miejsca dla rowerów w West Link, Wrocław

Od prysznica w Aquariusie

Infrastruktura rowerowa dla niektórych deweloperów może być jednak okazją, żeby się wyróżnić. Echo Investment nie ukrywa, że komfort pracownika, który przyjeżdża do biurowca na rowerze, to jedna z zalet ich budynków.

– Tak jak wszyscy, zaczęliśmy od strzeżonych miejsc na rowery w okolicach biurowców. Szybko okazało się, że to po prostu nie wystarczy – mówi Paweł Słupski, specjalista ds. PR w Echo Investment. – To zaczęło mieć znaczenie około 2013 r. To wtedy, przy okazji naszej wrocławskiej inwestycji Aquarius Business House, pokazaliśmy, że można zrobić coś więcej niż postawić stojak i ochroniarza. To był pierwszy budynek z miejscem w garażu dedykowanym właśnie rowerzystom, wyposażony w szatnię, suszarnię i prysznice. O takich drobiazgach jak zestawy narzędzi do naprawy roweru nie wspomnę. Potem to samo zaplanowaliśmy w Parku Rozwoju na warszawskim Służewcu, w gdańskim Tryton Business House, w krakowskim O3 Business Campus, czy w innym wrocławskim budynku West Gate, który w całości zajmuje Nokia. Dziś to nasz standard, w każdym nowym budynku planowany na wstępie – wyjaśnia.

Dlaczego? Bo na takie rozwiązania jest popyt. Słupski podkreśla, że klienci sami w pewnym momencie zaczęli pytać „czy będzie to samo, co w Aquariusie".

– Liczbę miejsc rowerowych uzależniamy od wielkości budynku. W warszawskim Q22, obliczonym na ok. 50 tys. m kw. powierzchni biurowej to sto dziesięć miejsc. W gdańskim Trytonie, który jest mniej więcej o połowę mniejszy, to odpowiednio mniej. Ale w każdym z tych przypadków pracownik wjeżdża do garażu, zostawia rower tam, skąd nikt go nie zabierze, kilka kroków dalej ma szatnię z szafkami, gdzie może wysuszyć ubranie, przebrać się i wziąć prysznic, czyli właściwie taki standard jak na basenie. A potem, odświeżony, wsiada do windy – opisuje Słupski.

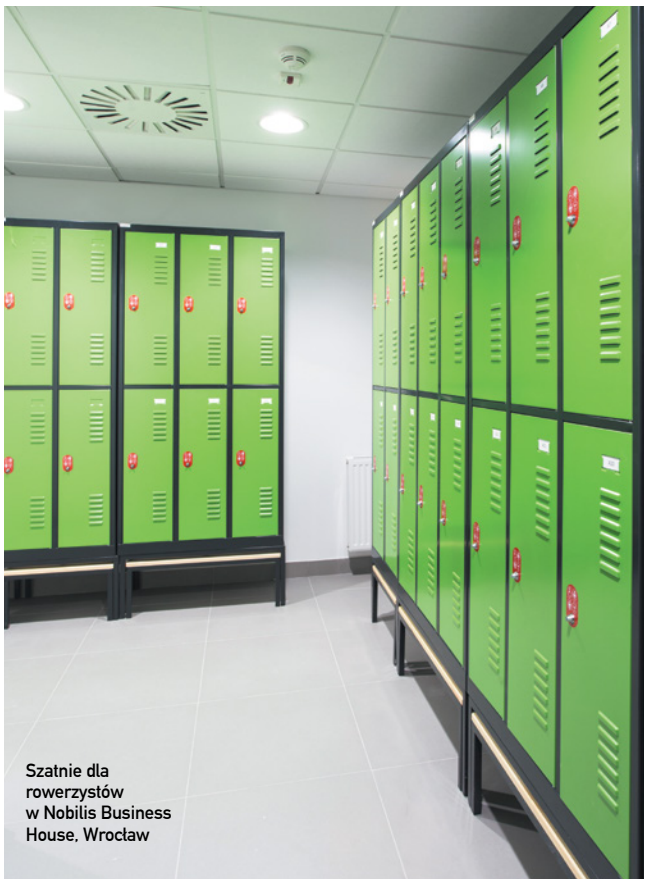
Szatnie dla rowerzystów w Nobilis Business House, Wrocław

Pracownik kuszony serwisem

We Wrocławiu, gdzie lokalny „Mordor" rozrasta się między ulicami Legnicką a Strzegomską, w okolicach Mikołajowa, zarówno miasto, jak i firmy widzą, że rowerzystów jest coraz więcej.

– Sieć dróg rowerowych jest niezła. Z każdego miejsca łatwo dojechać do centrum, a szczególnie Mikołajów jest dobrze skomunikowany, bo na Legnickiej są dwie drogi rowerowe, a na Strzegomskiej jedna. Właściwie przy każdym biurowcu powstaje sensowny, zadaszony parking rowerowy – wylicza Krzysztof Nowak właściciel rowerowej marki Hultaj i warsztatu rowerowego, który sam jeździ po mieście na dwóch kółkach.

– Nowy trend to serwisy rowerowe, na przykład w czasie pikniku dla pracowników. Przygotowujemy wtedy miejsce, do którego można przyjechać z rowerem, a tam go przejrzą i naprawią. Sami zostaliśmy niedawno wynajęci przez jedną z firm na sześć dni – dodaje.

Nowak zaznacza, że w stolicy Dolnego Śląska lobby rowerowe jest silne, co przekłada się na korzyści dla korporowerzystów. Ale wskazuje też na zwykłą konieczność, z powodów, które znają też pracownicy warszawskiego Służewca.

– Wrocław jest w katastrofalny sposób zakorkowany. W dodatku promocja komunikacji miejskiej nie działa tak dobrze jak w Warszawie. Mam wrażenie, że przynajmniej gdy jest lato, łatwiej przekonać kierowcę, by w drodze do pracy skorzystał z roweru, niż z komunikacji miejskiej – zauważa.

Gdańsk rowerowy z natury

– Biurowce Olivia Business Centre i Alchemia mają bardzo dobre warunki – osobne parkingi rowerowe, szatnie, prysznice – wylicza Remigiusz Kitliński gdański pełnomocnik prezydenta miasta ds. rowerowych. – Firma LPP zakupiła ostatnio rowery służbowe dla pracowników, a niektóre inne firmy dopłacają do ich zakupu. W Gdańsku promowanie dojazdów do pracy na rowerach jest zjawiskiem dość powszechnym. Warto wziąć choćby pod uwagę duże zaangażowanie firm w kampanię European Cycling Challenge – wskazuje.

Gdańsk to zresztą najbardziej rowerowe polskie miasto. Jedyne, w którym udział podróży rowerowych sięga w niektórych miesiącach dwucyfrowego odsetka. Już wiele lat temu zaczęto tam intensywnie rozbudowywać infrastrukturę rowerową, jednocześnie uspokajając ruch samochodowy. Choć w Gdańsku, co nietypowe dla dużych polskich miast, nie ma systemu roweru publicznego, miasto w dwóch ostatnich latach wygrywało w ogólnoeuropejskim konkursie ECC, o którym wspomniał Kitliński, który polega na zliczaniu kilometrów przejechanych przez rowerzystów. W tegorocznej, majowej edycji też jest na czele.

Kitliński podkreśla, że udogodnienia w biurowcach, to pomysły firm i ich zarządców, ale np. odpowiednia liczba miejsc postojowych wymagana jest w zapisach miejscowych planów zagospodarowania przestrzennego.

W Krakowie z kolei przykładem biurowca, który rowerzystów lubi i hołubi jest Enterprise Park, w którym swoje siedziby mają m.in. firmy Cisco i Delphi. Poza tym już trzeci sezon pracownicy mogą od zarządcy budynku wypożyczyć

rower. Początkowo, testowo, było ich 10. Dziś flota rozrosła się do 30. Nic to nie kosztuje, sprzęt można wypożyczyć nawet na trzy dni, a sama wypożyczalnia jest niezależna od raczkującego dopiero systemu roweru publicznego w stolicy Małopolski.
Co więcej, zarządca biurowca planuje w tym roku zorganizować po raz drugi z rzędu Bike Day, czyli imprezę dla pracowników, podczas której stawia serwis rowerowy, organizuje zawody dla pracowników, możliwość testowania nietypowych rowerów itp. Głównym celem ma być promocja dojazdów do pracy na jednośladzie. W zeszłym roku z serwisu skorzystało ponad sto osób.
Bike Days są organizowane przez Bike2Box, która sama jest przykładem na coraz większą chęć korzystania przez pracowników korporacji z rowerów. Bike2Box to jedna z tych firm, które dzięki nim funkcjonują. Poza organizacją wspomnianych imprez – nie tylko w Krakowie, bo od początku kwietnia podobne odbyły się w Busines Garden w Warszawie i w Poznaniu, a także w Arkońska Business Park w Gdańsku – oferuje deweloperom systemy wypożyczalni składanych rowerów, czy systemy ich przechowywania, np. przez montaż obsługiwanych jedną ręką wieszaków rowerowych.

Kiedyś stojak, dziś prysznic, jutro…?

– Mam wrażenie, że zwrócenie uwagi na rowerzystów wymusili sami pracownicy – zastanawia się Słupski z Echo Investments. – To bardzo często wciąż młodzi ludzie, którzy pracują w zachodnich firmach technologicznych ,mających swoje oddziały w Polsce, a wcześniej pracowali w tych samych firmach za granicą. Dla nich infrastruktura, o której mówimy, jest czymś naturalnym – twierdzi.
Lepsza infrastruktura dla korporowerzystów w miejscu pracy, została też, siłą rzeczy, wymuszona przez lepszą infrastrukturę rowerową w drodze do pracy.
Od kilku lat miasta wydają duże pieniądze nie tylko na wymalowanie białej linii w połowie chodnika, ale na wydzielone pasy, śluzy rowerowe, przejazdy, które coraz rzadziej ustępują jakością tym z Holandii, Danii, czy Niemiec. Pieniądze, początkowo głównie unijne, coraz częściej są wydawane z własnego budżetu. Bo dobra droga rowerowa od razu zapełnia się rowerzystami, którzy domagają się kolejnych udogodnień.
Systemy rowerów miejskich to tylko wierzchołek tego procesu. Sukces Wrocławskiego Roweru Miejskiego, a niedługo później jeszcze większy sukces Veturilo i systemów w innych miastach to efekt pomysłu urzędników. Przekonali do niego mieszkańców, pokazując, że rower nie służy wyłącznie rekreacji, ale jest pełnoprawnym miejskim środkiem transportu. W Warszawie zauważono, że regularni użytkownicy Veturilo, którzy w pewnym momencie z niego rezygnują, to najczęściej osoby, które po prostu kupują własny rower.
Dlatego na szatni i prysznicu zapewne się nie skończy, a pierwsze próby – jak w Krakowie – by pracownikom udostępniać rowery, a nie tylko infrastrukturę do nich mogą za kilka lat być kolejnym biurowym standardem.
Co dalej? W Belgii, Holandii i Francji są firmy (czasem to inicjatywa miast) dopłacające swoim pracownikom za przyjeżdżanie do pracy na dwóch kółkach. Pionierem w Polsce była kilka lat temu sopocka firma Blue Media. I temu pomysłowi pracownicy korporacji, zwłaszcza ci, którzy już dziś pedałują do pracy, kibicują chyba najmocniej.

#Jan Stereo

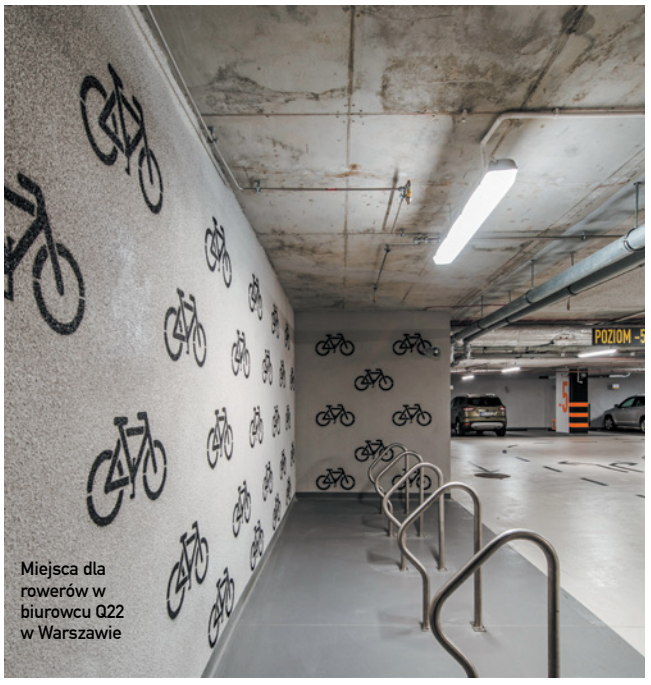

Miejsca dla rowerów w biurowcu Q22 w Warszawie

Mordorska dieta cud!

Lewandowska, Chodakowska, Malinowska, Kowalska, Ibisz… Znanych i lubianych zwolenniczek i zwolenników zdrowego żywienia jest w przestrzeni publicznej pod dostatkiem. Nie dość, że zaglądają nam do garnków, kontrolują spożywane napoje, to także dyktują określone aktywności.

Krytykują siedzący tryb życia i narzucają sportowy. Z zazdrością patrzę wtedy na przedstawicieli niektórych zawodów. Są tacy, którym łatwiej jest utrzymać przyzwoitą wagę bądź zrzucić kilka zbędnych kilogramów i podporządkować się rygorowi pięknych i wysportowanych kobiet sukcesu. Weźmy takiego robotnika, cały dzień na słońcu, dźwiga materiały budowlane, kopie doły, obsługuje ciężki sprzęt. Takiemu to dobrze, zbędne kalorie same wiedzą kiedy odpuścić! Ratownik, policjant, strażak, to oczywiście stresogenne zawody, jednak zestaw wykonywanych obowiązków sprzyja wysokiej formie fizycznej. A co z korpoludkami?

Tragedia. Osiem, dziesięć lub nawet dwanaście godzin spędzonych przy biurku. Do tego siedzę na krześle drugiego sortu, zupełnie odmiennym jakościowo od tych korpotronów pokazywanych w amerykańskich filmach. Wgapiony w ekran komputera. Potem wracam zmęczony do domu, włączam telewizor, a tam Chodakowska, Lewandowska i cała reszta tej perfidnie wysportowanej bandy, tylko czeka, by oskarżycielskim tonem zaatakować: - Jedz zdrowo! Wyjdź na dwór, pobiegaj. Na sport zawsze jest czas!
Jasne, sam się prosiłem, trzeba było nie włączać odbiornika, wszak całe życie nam powtarzają: Przy siedzącym trybie pracy najlepszy jest aktywny wypoczynek! „Aktywny wypoczynek"to jakiś mit. Skąd wziąć energię po zamulającym dniu, pełnym e-maili, ślęczenia przed ekranem, wykonywania sprzecznych korpoobowiązków?

Lewandowska powiedziałaby: Jedz zdrowo, a będziesz pełen energii! Słowo daję, naprawdę chciałbym wcielić w życie te odkrywcze słowa. Nie tylko ja zresztą.

Praca w korporacji, szczególnie w roli najmniejszego trybika, to prawdziwa zmora dla szczupłej sylwetki. Komu udało się po dołączeniu do zespołu zrzucić kilka kilogramów? Ręka w górę! Cóż, za tą polaną na pewno nie znajduje się las rąk.
Kolega z projektu, przychodząc do pracy w korpo ważył 76 kilogramów. Po kilku miesiącach, licznych cateringowych obiadach, promocyjnych kebabach od Pana Kanapki osiągnął zatrważający wynik 114 kg! Przytył prawie czterdzieści kilogramów! Sytuację tylko trochę ratuje fakt, iż ów znajomy mierzy niespełna dwa metry.

Jako że sam dorzuciłem z dziesięć kilogramów, mogę potwierdzić, że moment, w którym uświadamiamy sobie, że waga wcale nie jest zepsuta, a ubrania nie skurczyły się w praniu, nie należy do najprzyjemniejszych. Żeby nie myśleć, jak bardzo powinienem usprawnić swój tryb życia zmieniam kanał. Mecz. 22 wysportowanych milionerów biega za piłką. Przed oczami stają mi buty do biegania oraz ścieżka w parku, którą powinienem wydeptywać regularnie podczas joggingu. Najgorsze, że gdy nie spalamy energii, gnuśniejąc podczas wykonywania siedzącej pracy, niejako „z nudów" odczuwamy większy głód. By zrealizować wiszące nad nami targety, zjadamy cokolwiek, nie odchodząc od biurka choćby na minutę, jedną ręką odpowiadamy na mail, drugą wpychamy ociekającą sztucznym sosem, pozbawioną świeżych warzyw, wysokokaloryczną kanapkę. Wieczorem do biura zagląda Pan Kanapka, oferujący w promocyjnej cenie fast food, którego nie udało mu się sprzedać gdzie indziej. Pomijając śmieciowy charakter użytych składników, wożenie jakiegokolwiek posiłku przez cały dzień, po różnych lokalizacjach, nie sprzyja jego wartości odżywczej.

Niestety, podstawową wadą zdrowych posiłków jest czas i energia, które należy poświęcić, aby je przygotować. Zdaję sobie sprawę, iż w tym wszystkim chodzi o odpowiednie zagospodarowanie wolnego czasu, jednak w korporacyjnej rzeczywistości nie jest to wcale takie łatwe. Wspominałem już o stresie, który towarzyszy niektórym zawodom, które jednocześnie wymuszają aktywny tryb życia. Otóż w korporacyjnym biurze również odczuwamy stres, nie otrzymując rekompensaty w postaci aktywności fizycznej. Czy zdążymy wykonać wszystkie powierzone zadania? Osiągniemy odpowiedni procent danego współczynnika, który mierzy nawet najbardziej absurdalne części składowe wykonywanych obowiązków? Notoryczna ocena pracownika na comiesięcznych spotkaniach z bezpośrednim przełożonym też do łatwych nie należy. Typowo korporacyjne maksymalizowanie zysków jak najmniejszym kosztem, dla wielu pracowników stanowi niewyczerpane źródło zgryzot i stresu.

Moi drodzy, ofiary korporacyjno-siedzącego trybu pracy, przykuci obowiązkami do znienawidzonych biurek, dzielę z wami trudności z uprawianiem „aktywnego wypoczynku", codziennie wyrzucam sobie brak odpowiedniej postawy i najchętniej porzuciłbym próby zmiany dotychczasowego trybu życia.

Jesteśmy coś winni naszym wymarzonym, szczupłym sylwetkom! Nawet jeśli celem nie będzie przebiegnięcie maratonu, zawodowa gra w piłkę, czy zatrudnienie w modelingu, pamiętajmy, że zdrowie jest najważniejsze! O tak, wkraczam w strefę truizmów i motywacyjnych zaklęć. Będę waszą Lewandowską, Chodakowską, Malinowską, Kowalską czy Ibiszem. Nie dajmy się pogrzebać pod stertą śmieciowego jedzenia, przywiązani w pracy do jednego ekranu, ulokowani w domu przed telewizorem. Wyłączam odbiornik, znajduję zakurzone buty do biegania i wychodzę szukać dawno zapomnianej ścieżki. Wiem, że będzie bardzo trudno, wielokrotnie podczas biegu powtórzę sobie w myślach: Po co się męczyć? Przestań biec!

Jednak wtedy przed oczami stanie mi obraz nieszczęsnych, dodatkowych, ociekających tłuszczem czterdziestu kilogramów, które musi dźwigać mój znajomy, biegnących tuż za mną, próbujących dopaść marzenie o wakacyjnej sylwetce. Wtedy zacisnę zęby i przyspieszę, choćby to miała być ostatnia rzecz jaką zrobię w życiu!

#Albert Kosieradzki.

Czy jadąc windą w krawacie mniej awanturujemy się?

Nie sprawdzałem tego osobiście, ani nie odnalazłem (bo nie szukałem) odpowiednich danych statystycznych, ale śmiem przypuszczać, że prawie wszystkie budynki w Mordorze posiadają windę w liczbie pojedynczej lub mnogiej.

Jest ona przede wszystkim urządzeniem, dzięki któremu możemy przemieszczać się między piętrami. Niektórzy mówią tu nawet o podróżach. A jak wszystkim wiadomo, podnóże kształcą, więc można zaryzykować twierdzenie, że w czasie jazdy windą mimowolnie dokształcamy się. Dokształcanie to wynika z faktu, że winda jest miejscem, gdzie się spotykamy, czyli dochodzi w niej do interakcji społecznych, spotkań towarzyskich, komunikacji międzyludzkiej przyjmującej mniej lub bardziej werbalne formy. A jeżeli tak, to należy się zastanowić nad tym, jak zachowywać się w tym szczególnym miejscu. Temat savoir vivre w windzie już nie raz był poruszany i nigdy nie udało się określić jednoznacznie i powszechnie akceptowanych form i obyczajów. Bo czy wsiadając do niej, należy mówić dzień dobry, czy wychodząc - dziękuję, do widzenia, czy też życzyć miłego dnia? A co jeśli za chwilę znowu spotkamy się w windzie, czy powtarzać cały rytuał? A co z jedzeniem i piciem w windzie, czy wypada? Jak rozmawiać, by innym nie przeszkadzać. Jak w niej stać? Twarzą do ścianki, z nosem do niej przytkniętym, by zrobić innym jak najwięcej miejsca? Przecież odwracać się do kogoś plecami nie wypada. A może wręcz przeciwnie, przyjąć pozycję frontalną do współpasażerów i pozwolić im po zapachu zgadnąć, że właśnie zjedliśmy na lanczyk świetną sałatkę z czosnkowym dresingiem. A co z kolegą, który w profesjonalnym stroju kolarza sapie nam prosto w twarz, a aura jaką roztacza zdaje się mówić: „Mam do pracy 28 kilometrów, dziś trasa zajęła mi 40 minut. To mój rekord! Szkoda tylko, że mam tylko jeden strój na rower i tak mało czasu, by go częściej prać, ale kocham rower." Kontrowersji nie powinno budzić przepuszczanie kobiet przez mężczyzn przy wsiadaniu i wysiadaniu. Jednak czy prawdziwy gentelman nie powinien wcześniej sprawdzić, czy za drzwiami jest kabina windy, by nie narazić koleżanki z pracy na niebezpieczeństwo? A co jeśli mężczyzna jest o kulach, bo właśnie wrócił z Alp, gdzie górskie powietrze zaszumiało mu w głowie i uwierzył, że jest królem stoku i potrafi, przyjmując pozycję jaskółki, równie doskonale jeździć na jednej narcie? Czy wtedy wejście do windy przed kobietą będzie łamało bon-ton?

Pomijając okoliczności, każdy z nas jest inny, a do tego jeszcze dochodzą nastroje i humory. Czasem lubimy spokój, ciszę i najchętniej nie odzywalibyśmy się, jeśli to niekonieczne, innym razem chętnie wdalibyśmy się w krótką, ale intensywną dyskusję, mijając kolejne piętra. Są też dni, że wsiada się do windy, licząc na chwilę rozrywki wśród osób, które pracują w tym samym budynku, albo przynajmniej na wymianę informacji w stylu: „Widziałem, że nasza gwiazda, znowu przyniosła rybę na obiad. Radzę nie zapuszczać się w okolicę kuchni w godzinach popołudniowych." Inni mogą czuć nieodpartą potrzebę podzielenia się swoim sukcesem: „Cały weekend szalałam na Mazowieckiej i nie mam kaca! Jeszcze nie mam. Jaki dziś dzień?" Przy okazji wyjaśnia się zagadka, skąd brokat w całym biurze.

Zestaw zasad zachowania można tworzyć w nieskończoność, ale czy dzięki niemu będziemy szczęśliwsi? Antoni Słonimski kiedyś napisał słynne już słowa: „Jeśli nie wiesz, jak należy się w jakiejś sytuacji zachować, na wszelki wypadek zachowuj się przyzwoicie." Czasami jednak i to sprawia problemy, bo okazuje się, że przyzwoitość staje się pojęciem względnym. Po drugie nie zawsze zwykła przyzwoitość wystarczy. Wygląda na to, że kwestia savoir vivre w windzie jest problematyczna i ciężko znaleźć tu jednoznaczne i satysfakcjonujące odpowiedzi, o złotym środku nie wspominając.

Mój pomysł jest taki, by w miarę możliwości podzielić windy i dedykować określonym oczekiwaniom pasażerów. Poniżej przedstawiam trzy przykładowe propozycje, które mogą stanowić punkt wyjścia do dalszych rozważań.

Chillwinda: Jazda nią ma przede wszystkim wyciszać i relaksować. Tu nie musimy nic mówić wsiadając, jadąc i wysiadając. Przeznaczona dla wszelkiego rodzaju milczków, osób małomównych, lub po prostu potrzebujących chwili spokoju w tej krótkiej podróży. Coś analogicznego do stref ciszy w pociągach. Komunikacja w tej windzie ograniczałaby się do ukłonów, uśmiechów i innych, mało ekspresyjnych gestów. Mówiąc krótko, typ introwertyczny, skandynawski.

Regularwinda: Można powiedzieć zwyczajna winda, w której nie dzieje się za wiele, jak w polskim filmie. Osoba wysiadająca z niej powinna pozostać w stanie nienaruszonym, identycznym z tym w jakim była przed podróżą. Tu wskazana jest zwykła uprzejmość, czyli: dzień dobry, co słychać, miłego dnia, dziękuję i do widzenia. Zbytni ekstrawertyzm i ekshibicjonizm nie jest witany entuzjastycznie.

Freakwinda: Cudaczny pojazd dla wszelkiego rodzaju freaków, ekstrawertyków, artystów i innych zboczeńców. Wszystkie chwyty w niej są dozwolone, bo nigdy nie wiadomo czy czyjeś zachowanie nie jest po prostu happeningiem. Tu można wyrzucić z siebie wszystko, mówić, śpiewać, śmiać się, kręcić hula-hop, czy grać w klasy. Winda ta jeździ nie tylko w pionie, ale też na boki i w innych wszelkich, fantastycznych kierunkach. Przekracza matriksy i wymiary, a jazda nią jest przeżyciem ekstremalnym. Nie uprawiam polityki, nie zamierzam dzielić społeczeństwa, ja tylko chcę dać wybór. Każdy na własną rękę może się zastanowić, pogimnastykować wyobraźnię, jaką windą dziś najchętniej by pojeździł. Którąś z powyższych? A może jakąś całkowicie inną, w której poczułby się dobrze i swobodnie. Czy nie byłoby miło gdybyśmy mieli taki wybór w miejscu pracy? Dla niezdecydowanych zawsze pozostają schody, które jeszcze nie były wiązane z tematem savoir vivre, czyli wolne są od problemów przedstawionych powyżej.

#M.Bąk

REKLAMA

REKLAMA

JUŻ TERAZ W SALONACH VISION EXPRESS:

NOWOCZESNA PROFILAKTYKA CHORÓB OCZU

Bez kolejki, bez skierowania, bez zakraplania oczu. Zapisz się do Programu Badań Przesiewowych w kierunku zwyrodnienia plamki żółtej związanego z wiekiem, retinopatii cukrzycowej, jaskry i zaćmy.

Aleja Bielany
ul. Czekoladowa 7
tel. (71) 311 22 45

CH Korona
ul. B. Krzywoustego 126
tel. (71) 350 13 54

CH Borek
al. gen. J. Hallera
tel. (71) 726 29 75

Galeria Dominikańska
pl. Dominikański 3
tel. (71) 346 80 34

Vision Express
Dbamy o Twoje oczy

UCIEKINIER Z MORDORU

Psy szczekają – karawana jedzie dalej

Wreszcie spotykam się z uciekinierką.
Dodajmy od razu, że z Mordoru, czyli krainy asapami i deadline'ami płynącej (śmiech-red.).

Z uciekinierką, która kluczyła i zwodziła, ale wreszcie zgodziła się na rozmowę w swojej gazecie (śmiech-red).
To prawda. Długo się wzbraniałam przed udzieleniem wywiadu w rubryce „ Uciekinier z Mordoru", bo miałam poczucie, że jeszcze na niego za wcześnie, że muszę poczekać na odpowiedni moment, nabrać dystansu, zdobyć te dobre i złe doświadczenia. I tak się stało. Teraz jest wreszcie dobra okazja, by porozmawiać. Przez ostatnie dwa lata bardzo ciężko pracowałam na to, co osiągnęłam. Z pracownika korporacji, przeobraziłam się w pomysłodawczynię i redaktorkę miesięcznika Głos Mordoru. To był dla mnie bardzo ważny zawodowo czas, od momentu wymyślenia tego projektu dla pracowników korporacji na warszawskim Służewcu, przez jego realizację, aż do podjęcia decyzji o kolejnym ruchu. Dziś czytelnicy trzymają w rękach nowy tytuł - Mordor Voice – który, podobnie jak poprzedni, jest moim pomysłem, z tą różnicą, że ten tworzę już całkowicie sama. Ten nowy projekt jest dla mnie ogromnym wyzwaniem, także dlatego, że co miesiąc będzie się ukazywać nie tylko w Warszawie, ale też w Krakowie, Gdańsku i Wrocławiu.

Czyli następny krok do przodu?
Tak, ale okupiony bolesnym doświadczeniem rozstania z wspólniczką. Niestety, tam gdzie pojawia się sukces i pieniądze, tam często kończy się przyjaźń. Ale cóż, jak mówi przysłowie: „ Psy szczekają – karawana jedzie dalej".

Czy czujesz się już jak kobieta sukcesu?
Ależ skąd! Pytanie mocno na wyrost. Jasne, jestem dumna z moich gazet, ale to jeszcze nie to, o co pytasz. Choć prawdą jest też , że kobiety często nie dostrzegają swoich sukcesów, nie chcą o nich mówić, traktują jak coś, co przytrafiło im się niemal przypadkiem. Pierwsza zadajesz mi to pytanie, ale to dobrze, bo uświadomiłaś mi, że być może życie w nieustannym trybie „aktywność" nie pozwala mi pewnych rzeczy dostrzec.

Twoje decyzje wynikają z odwagi czy skłonności do ryzykanctwa?
Z odwagi. Kiedy odchodziłam z korporacji, poprosiłam mojego ówczesnego szefa, którego darzę ogromnym szacunkiem, o radę na przyszłość. Powiedział mi, że powinnam być bardziej odważna. No to jestem (śmiech-red.). Oczywiście dwa lata temu ryzykowałam, bo wbrew tendencjom rynkowym, zdecydowałam się postawić na prasę papierową. Na szczęście był to strzał w dziesiątkę.

Jakie cechy przydają się w biznesie?
Pewność siebie, doświadczenie, świadomość swoich umiejętności, a także wizja i misja, które stają się wyznacznikiem działania.

Masz misję?
Wymyślając oba tytuły, Głos Mordoru i Mordor Voice, wiedziałam jedno: mają być platformą, łączącą ludzi w dużych miastach, pracowników korporacji, zabieganych, rzadko dysponujących czasem, by porozmawiać o problemach zawodowych. Wiem, że tego potrzebują, bo – jak już ustaliłyśmy - sama jestem uciekinierką z Mordoru (śmiech-red.).

Długo pracowałaś w korporacji?
W Grupie Wydawniczej Polskapresse, pracowałam cztery lata jako marketing menadżer. Wcześniej byłam pięć lat związana z agencją nieruchomości Metrohouse, która stawała się korpo, gdy ja już stamtąd odchodziłam. Właściwie tam nauczyłam się większości rzeczy, z których dziś korzystam. Zaczynałam od stanowiska asystentki. Potem byłam doradcą handlowym, kredytowym, zarządzałam działem marketingu, wydawałam biuletyn o nieruchomościach. Czasem, czyszcząc o północy baner na targach nieruchomości, zastanawiałam się nad sensem tego co robię, ale teraz, wydając własną gazetę, odcinam od tych doświadczeń kupony. Nawet od czyszczenia tego nieszczęsnego banera, bo dzięki temu wiem teraz jak przygotować stoisko targowe. Doświadczenia z tamtych firm wykorzystuję każdego dnia. W swojej gazecie jestem odpowiedzialna za sprzedaż reklam, za przygotowanie ofert, za promocję, za dobór treści, za projekty specjalne, za druk , za dystrybucję – czyli za wszystko.

Kobieta-orkiestra?
Tak, to dobre określenie (śmiech-red.)

Czego jeszcze nauczyła cię korporacja?
Dzięki niej zdobyłam podstawową wiedzę na tematy prawne, marketingu, sprzedaży. Tam nauczyłam się pewnych nawyków, kontaktów z ludźmi, panowania nad emocjami i takiego ogólnego biznesowego savoir vivre'u, którego wcześniej mi brakowało. Zbyt często na głos mówiłam co myślę – w korporacjach trzeba inaczej (śmiech – red.). Ale korporacja to też szkoła nieufności. Niestety, o zasadzie ograniczonego zaufania zapominać w biznesie nie należy, czego doświadczyłam na własnej skórze całkiem niedawno.

Jak się wpada na pomysł, który pozwala uciec z korpo?
W moim przypadku, momentem przełomowym było urodzenie dziecka. Po urlopie bardzo nie chciałam wracać do korpożycia. Mieszkam pod Warszawą, same dojazdy do Mordoru zajmowały mi codziennie 1,5 godziny w jedną stronę. Łatwo się domyślić, że wolałabym ten czas spędzać z synem. Przez rok na macierzyńskim próbowałam więc znaleźć alternatywę. I nic. Im bardziej starałam się wymyślić własny biznes, tym większa pustka mnie ogarniała. Urlop się skończył, a ja wróciłam do open space'u. I nagle olśniło mnie. Do czegoś wreszcie przydała się moja spostrzegawczość. Gdy byłam na urlopie, warszawskie zagłębie korporacyjne stało się bardzo popularne, zaczęto je nazywać Mordorem. Codziennie 100 tys. korpoludków, podobnych do mnie, wylewało się z tramwajów i autobusów, i natychmiast było atakowanych przez rozdających ulotki. Wtedy zrozumiałam, że mam im do zaoferowania coś więcej niż zwykłe reklamy. Gazetę. Taką tradycyjną, papierową, żaden portal. Sama mam dość Internetu, więc pomyślałam, że ludzie też są już zmęczeni szumem informacyjnym i migającymi banerkami. Poza tym, skoro czytali w komunikacji miejskiej darmowe gazetki , w których były przysłowiowe mydło i powidło, to dlaczego nie mieliby czytać czegoś fajnego, czegoś tylko dla nich, czegoś o korpoludkach. I tak narodził się pomysł.

Jak udało ci się nakłonić współczesnego, młodego czytelnika, do czytania papierowej prasy i jeszcze zrobić na tym biznes? Wszystko to w momencie, gdy duże wydawnictwa zamykały papierowe bezpłatne tytuły?
Na każdym kroku spotykam się z pozytywnym odbiorem gazety. Te opinie są dla mnie bardzo ważne, bo dają potwierdzenie, że działam we właściwym kierunku. Moja pierwsza gazeta była przez korpoludków lubiana, bo moich czytelników potraktowałam ze zrozumieniem. O ludziach z Mordoru mówiono do tej pory najczęściej w kontekście żartu, „beki", a ja wiem jakie mają problemy, jak wygląda ich zawodowe życie. Wiem też, jak często niektórym woda sodowa uderza do głowy, ale wtedy się z takich objawów w gazecie śmiejemy (śmiech-red.). Zagłębie korporacyjne, czyli ten symboliczny Mordor, jest dla mnie takim miastem w mieście, w którym funkcjonuje populacja ludzi z podobnymi problemami i dylematami. To właśnie o nich i dla nich piszemy. Nie bez znaczenia dla popularności gazety jest też poziom tekstów. Nie powielam tematów z Internetu, dbam o unikalne treści, a nie jest tajemnicą , że jeśli są one interesujące, to znajdą się czytelnicy , a za nimi przyjdą reklamodawcy.

Co jest najtrudniejsze dla ciebie w pracy nad gazetą?
Pozyskanie dobrych autorów. Jak się okazało, nawet dziennikarz z 20-letnim doświadczeniem nie zawsze wie jak napisać tekst, by trafić do tej grupy, jaką są pracownicy korpo. Trzeba niektóre sprawy znać z autopsji, bo inaczej trafiają się suchary, a nie teksty, które ludzie czują. Niestety często jest też tak, że gdy piszą korpoludkowie, to moja redaktorka i korektorka

Justyna Szawłowska
Wydawca i Redaktor Naczelna Mordor Voice

w jednym, załamuje ręce, bo są słabe stylistycznie. Ale pracujemy nad tym. Ciężka to praca, ale daje efekty, a ja nie chcę iść na łatwiznę. Dziękuję w takich chwilach mojej wspaniałej nauczycielce języka polskiego z liceum, która nauczyła mnie pisać konspekty wypracowań i formułować tezy (śmiech-red.). Dzięki temu potrafię wymyślić temat, zlecić jego napisanie i ocenić. Zresztą Mordor Voice tworzyć będę z dotychczasową redakcją wspaniałych dziennikarzy i pracowników. Współpraca z nimi to sama przyjemność.

Masz jakieś obawy w związku z wejściem z nowym tytułem na nowe rynki w Polsce?
Mnóstwo! Jak się nie ma obaw, to się nie ma o czym myśleć. Jak się nie ma o czym myśleć, to można coś przegapić. Ja wolę przewidywać zagrożenia i na wszelki wypadek mieć kilka równoległych rozwiązań. Wiem, że nie da się przełożyć 1:1 doświadczeń zagłębi korporacyjnych z Warszawy na inne miasta, ale nie będę się skupiać na tym, czy Mordor we Wrocławiu jest podobny do tego w stolicy, czy nie. Gazeta Mordor Voice koncentruje się wokół naszych, korpoludkowych problemów. Bo tylko my wiemy, co dzieje się za szybami biurowców w open space'ach, bez względu na miasto.
Mam nadzieję, że pokażemy to wspólnie w najbliższych wydaniach. Zapraszam do współpracy korpoludków , ale też uciekinierów z korpo ze wszystkich miast. Pokażmy razem, z przymrużeniem oka, otaczającą nas rzeczywistość..

#Marta Makowska

ZADAJ PYTANIE COACHOWI

I znów wychodzi wcześniej z pracy. Czytaj: po 8 godzinach

dr Marcin Capiga
Trener/ Coach/ Konsultant/ Dyrektor Zarządzający TRAINING TREE

Czy w waszych firmach zostawanie po godzinach również stało się normą? Czy wyjście z pracy po 8 godzinach też nazywane jest wcześniejszym wyjściem? Jeśli tak, przeczytajcie naszą rozmowę ze specjalistą o nadgodzinach. Temat podsunęła nam Milena:

Witam, jestem mamą dwuletniego brzdąca. Pracuję w typowym korpo. Ponieważ mam małe dziecko, nie mogę sobie pozwolić na zostawanie dłużej w pracy (co zdarzało mi się przed ciążą). Czuję, że moje wcześniejsze wyjścia (czytaj: po 8 godzinach) są źle odbierane. Szef jest wyraźnie niezadowolony, a od współpracowników nie raz usłyszałam złośliwe komentarze. W moim dziale praktycznie wszyscy zostają po godzinach. Co mam zrobić w tej sytuacji, bo robi się to mało komfortowe dla mnie?

Co zrobić z szefem, który jest niezadowolony, jeśli nie siedzimy w pracy po godzinach?
Najlepszym rozwiązaniem jest rozmowa. Dopóki nie zakomunikujemy, że coś nam nie odpowiada, to pozostaje nam czekać, że ktoś się domyśli. Życie niestety często pokazuje coś innego. Szef sam może dużo pracować i dla niego taki rodzaj funkcjonowania może wydawać się normą. Wyobrażam sobie, że w natłoku obowiązków może też oczywiście nie zauważyć takiej sytuacji.
Gdy pytam uczestników swoich szkoleń, co robią, by wychodzić punktualnie z pracy, niestety duża część szuka wymówek lub po prostu... kłamie. Wolimy wymyślać powody, niż zachowywać się asertywnie i komunikować swoje potrzeby wprost.

Czyli z dnia na dzień powiedzieć „dość"?
Jeśli od dłuższego czasu spędzałeś w pracy po 10 godzin i nagle, jak za cięciem noża, zaczniesz wychodzić punktualnie, to taka zmiana może spotkać się ze złą reakcją. Pracę i tak będzie trzeba wykonać, więc menedżer będzie musiał znaleźć kogoś, kto te dodatkowe czynności wykona. Dlatego jestem za tym, by zaplanować z szefem tzw. miękkie przejście. Ja na miejscu takiego szefa, chciałbym, żeby pracownik powiedział mi wprost, że nadgodziny zaczynają mu przeszkadzać. Wspólnie zastanowilibyśmy się, jak i kiedy możemy rozwiązać problem.

A jaka jest rada na złośliwych współpracowników?
W takim przypadku dobrze jest się zastanowić, czy jesteśmy w stanie rozwiązać ten konflikt samodzielnie, czy potrzebujemy pomocy osoby trzeciej. Z takimi problemami powinniśmy zgłaszać się do menagera i to on powinien konflikty rozwiązywać.

Dlaczego tak wiele osób decyduje się na nadgodziny?
Powodów jest oczywiście wiele. Wymienię kilka moim zdaniem najczęściej spotykanych.
Przede wszystkim część osób ma problem z asertywnością. Obawiają się że jeśli nie będą zostawać po godzinach, to będą źle postrzegane przez szefa (i to przekonanie może być bliższe lub dalsze prawdzie). Czasami taka osoba woli nawet poszukać nowej pracy, zamiast postawić granice.
Inny powód może wynikać z niskiej skuteczności osobistej. Moglibyśmy wykonać nasze działania w 8 godzin, ale nieefektywnie planujemy, robimy wiele rzeczy naraz, zostawiamy ważne zadania na ostatnią chwilę i gdy zbliża się deadline, zostajemy po godzinach, żeby się wyrobić.
Kolejną przyczyną może być zbytnie „oddanie" się pracy. Taki powód nadgodzin odkryliśmy, kiedy realizowaliśmy z moją firmą badania dla jednej z międzynarodowych korporacji. Wyniknęło z nich, że ludzie za mocno „wtapiają" się w firmę. Mają dobre relacje w pracy i tak ją uwielbiają, że funkcjonowanie w niej stało się ich całym życiem.
Oczywiście nadgodziny możemy także realizować w wyniku naszej głęboko przemyślanej decyzji np. chęci rozwoju lub zarobienia więcej pieniędzy.

Pod warunkiem, że szef płaci za te nadgodziny…
Jeśli szef nie płaci za nadgodziny, trzeba zadać sobie pytanie, co chcemy uzyskać, pracując w ten sposób. Może myślimy, że jeśli będziemy notorycznie zostawać po godzinach, to w efekcie szybciej dostaniemy awans, albo szybko rozwiniemy nasze kompetencje. Jak pokazują badania trzy główne motywatory pracowników korporacji to finanse, rozwój i relacje w zespole.

Czy to oznacza, że w obecnych czasach 8 godzin w pracy to za mało?
To zależy na co. Jeżeli zatrudnia się niewystarczającą liczbę ludzi do realizacji celów, to rzeczywiście tak. Niestety współczesny kapitalizm polega czasami na tym, że chcemy wyprodukować więcej, w krótszym czasie i mniejszym nakładem finansowym - kosztem ludzi.
Na szczęście optymalizacji można szukać też w „humanitarny" sposób - np. optymalizując procesy, szkoląc kadrę kierowniczą, stosując empowerment itp.

Czyli wina leży po stronie firmy?
Jeżeli ludzie pracują dłużej niż powinni, bo są do tego przymuszani lub w wyniku złego zarządzania, to tak. Nie jestem jednak zwolennikiem szukania winnych, a raczej szukania rozwiązań. Zajmuję się tym tematem od kilku lat i przyczyna najczęściej tkwi pomiędzy asertywnością pracownika, a uważnością i zaangażowaniem menedżera. Pracownicy przecież również mogą wykazać inicjatywę i np. zgłosić swoje problemy. Szef (nawet jeśli jest bardzo dobry), może pewnych rzeczy nie zauważyć.

Więc co może zrobić pracodawca, a co pracownik?
O pracowniku sporo już powiedziałem - bez komunikacji z przełożonym raczej nic nie wskóra, no chyba że zacznie szukać nowej pracy - co oczywiście nie jest żadnym wyjściem.
Pracodawca powinien przyjrzeć się temu, co jest przyczyną nadgodzin. Rozpoznanie problemu jest kluczowe. Najłatwiej jest zatrudnić firmę, która przeprowadzi za niego analizę tego problemu, ale może też sam zrobić rozpoznanie. Porozmawiać z pracownikami, przyjrzeć się procedurom. Być może problem wcale nie tkwi w kompetencjach pracowników...

Zdarzają się tak zaangażowani pracodawcy?
Oczywiście. Przykład mojej ostatniej klientki coachingowej, która jest dyrektorką w dużej firmie. Kiedy kilka lat temu przyjechała do Warszawy z małego miasta. W pracy spędzała bardzo dużo czasu. Powód był prosty - nikogo tutaj nie znała. Po jakimś czasie zauważyła, że jej ludzie też siedzą po godzinach. Przeanalizowała sytuację. Okazało się, że jej pracownikom głupio było wyjść przed szefową. To idealny przykład konformizmu i wpływu autorytetu. Kiedy to odkryła, zaczęła chodzić po pokojach i gdy widziała, że ktoś pracuje po godzinie 17.00, pytała co robi. Jeśli nie było to coś z wysokim priorytetem na dany dzień, kazała pracownikowi iść do domu. Można?

Co byś powiedział pracownikom firm, w których nadgodziny to norma?
Po pierwsze poradziłbym, by zastanowili się, w jakim celu robią nadgodziny. I czy nie mogą tych celów osiągnąć w inny sposób. Jeśli rzeczywiście odpowiada komuś taki stan rzeczy, to dobrze żeby pomyślał o tym długoterminowo. Praca po 10 czy 12 godzin np. po to by dostać awans, w dłuższej perspektywie zapewne negatywnie odbije się na naszym zdrowiu i relacjach z bliskimi. Warto więc, by była to decyzja świadoma.
Dobrze też regularnie przyglądać się swojej pracy i sprawdzać, czy nadal pracujemy dużo, bo walczymy o wspomniany awans, czy może wpadliśmy w pewien kołowrotek i nie potrafimy się z niego wydostać. Jeżeli nie potrafimy się z niego wydostać, to warto poszukać w sobie sił, na rozmowę z przełożonym. I znów wracamy do asertywności.
Zawsze warto także zastanowić się, czy możemy naszą pracę wykonywać bardziej efektywnie. Czasami bowiem wprowadzając niewielkie zmiany w naszym działaniu, możemy zyskać o wiele większą skuteczność.

A pracodawcom co byś powiedział?
Poradziłbym żeby odpowiedzieli sobie na pytanie, czy godząc się na to, że ich pracownicy zostają po godzinach respektują ich prawo do odmowy? Myślenie strategiczne polega także na planowaniu efektywności swoich ludzi, czyli tzw. work-life balance. Pracodawca nie utrzyma na wysokim poziomie skuteczności pracowników eksploatując ich ponad siły. Jeżeli pracownicy zaczną tracić energię, firma w dłuższej perspektywie zmniejszy jakość wykonywanych zadań i odniesie stratę – również finansową.

#Marta Wujek

ACT Advanced Corporate Training

BIG FISH in the MORDOR POND - co powie Ci ryba, co w Mordorze pływa …

MR BIG FISH AS A CONFERENCE SPEAKER

Mr Fish: *(1) I've been invited to give a presentation at an (2) annual Great Ocean Fluid Management Conference as a (3) keynote speaker.*
Claudia, his (4) PA: *(5) Awesome!*
Mr Fish: *I thought it'd be a powerful way for me (6) to spread my valued ideas, so I agreed.*
PA: *Oh, I'm sure the conference participants will be (7) thrilled. (8) What problem will you address?*
Mr Fish: *Authenticity crisis. (9) How crucial it is in business to speak your own voice if you want (10) to make an impact.(11) It goes without saying I'm an expert in the field….*

PA: *Of course… It will be a challenge to cover such a complex subject in a (12) concise presentation, though.*
Mr Fish: *Oh, I actually thought you might (13) capture the essence of my thoughts for me, will you Claudia? You know me so well, it will be (14) a piece of cake for you to prepare this presentation now.*

GLOSSARY:
(1) I've been invited - *zostałem zaproszony*
(2) annual - *coroczny*
(3) keynote speaker - *główny/ kluczowy mówca*
(4) PA - Personal Assistant - *osobista asystentka*
(5) awesome - *wspaniały (wspaniale)*
(6) to spread my valued ideas - *szerzyć moje cenne myśli / idee*
(7) thrilled - *podekscytowani*
(8) what problem will you address? - *na jaki problem zwrócisz uwagę?/ do jakiego problemu się odniesiesz?*
(9) how crucial it is - *jakie to ważne / kluczowe*
(10) to make an impact - *wywrzeć wpływ / mówić z mocą*
(11) it goes without saying - *to dla wszystkich oczywiste, że / to się samo przez siebie rozumie*
(12) concise - *zwięzła*
(13) to capture the essence of my thoughts - *uchwycić sedno moich mysli*
(14) a piece of cake (for you) - *bardzo łatwe, „pestka" dla Ciebie*

* BIG FISH = an important or powerful person (Gruba Ryba)
* to be a big fish in a small pond = to have a lot of influence only over a small area

www.act.edu.pl ACT szkolenia językowe dla firm

Wyjątkowy styl życia we Wrocławiu

Doskonała lokalizacja

Nowoczesna architektura

Niepowtarzalny widok

Wysoki standard

BPI Polska

800 800 900

bulwaryksiazece.pl

Przyszłe mamy - mamy je, czy nie mamy?

Dzień Matki kojarzy się przede wszystkim z podziękowaniami dla kochanych rodzicielek. Kwiatki, czekoladki i sypiący się z dziecięcego serduszka brokat miłości. Spójrzmy jednak na to święto z nieco innej perspektywy – kobiet, które matkami być może dopiero będą. Czy nie jest to także ich święto?

Być, albo nie być – oto jest pytanie!

Macierzyństwo jest szalenie złożonym tematem. Z jednej strony, wiele osób uważa je za „naturalną" część życia każdej przedstawicielki płci pięknej. W ich opinii, jest ono wręcz esencją kobiecości. Nie masz dziecka? Co z ciebie za kobieta – można usłyszeć. Z drugiej strony są wymagania społeczne, które każą nam robić karierę, rozwijać się naukowo, zarabiać ogromne pieniądze, niezależnie od tego, czy panowie na podobnych stanowiskach mają co miesiąc większe przelewy na koncie, czy też nie. Skoro mamy we współczesnym świecie dostęp do szkół i znakomitych stanowisk, koniecznie musimy z tego korzystać! Ale, ale… patrz punkt pierwszy – nie zapominaj o macierzyństwie.

Jak w tym wszystkim odnajdują się młode kobiety? To w końcu one mogą stać się w najbliższej przyszłości potencjalnymi matkami. To one, już w niedługim czasie, mogą dostawać laurki z nieporadnie zapisanym: „Kohanej Mamósi!". Czy są gotowe na macierzyństwo? Czy mają je w planach? I jak ma się do tego praca zawodowa? Oto historie trzech młodych kobiet, przed którymi te wszystkie pytania dopiero się pojawiają. Każda z nich pracuje w innym modelu, każda z nich ma inną wizję siebie. Iza – prawniczka w korporacji, Magda – freelancerka, Ola – pracowniczka jednej z unijnych instytucji. Czy kolejne Dni Matki będą nich także ich świętem?

Dam radę!

Iza pracuje w korporacji niemal pięć lat. Zaczęła jeszcze w czasie studiów, dobrze się tam czuje i zdecydowanie jest w dobrym momencie swojego zawodowego rozwoju. – Myślę, że dałabym radę pogodzić pracę i macierzyństwo. Oczywiście wzięłabym urlop, ale chciałabym żeby nie był za długi. Taki, by móc urodzić dziecko, początkowo się nim zająć i wrócić. Myślę sobie, że gdyby nie było mnie jednak dłużej, mogłabym coś stracić – ocenia Iza. Pojawiają się oczywiście wątpliwości, że być może znalazłby się w tym czasie ktoś lepszy na jej miejsce. Być może zaszłyby zmiany w firmie, w których nie mogłaby uczestniczyć, a wdrożenie kosztowałoby ją wiele czasu i całą masę nerwów. – Generalnie czuję się w swojej firmie dobrze i pewnie. Myślę też, że i oni są ze mnie zadowoleni. To nie jest tak, że dopiero zaczęłam pracę i od razu idę na urlop. Takie zachowanie jest zdecydowanie źle odbierane. Jestem w firmie już ładnych parę lat, więc naturalna jest taka kolej rzeczy, że może pojawić się w moim życiu dziecko – mówi. Czy naprawdę jest aż tak spokojna?

– Obserwuję przypadki, gdy kobiety wracają po urlopach macierzyńskich i dostają propozycje nie do odrzucenia: odejście za porozumieniem stron lub kombinacje, jak zlikwidować ich stanowisko – opowiada i szczerze zastanawia się z czego może to wynikać. Być może właśnie znalazł się ktoś lepszy na ich miejsce, a być może jest to po prostu dobra okazja do redukcji etatów. – Takie sytuacje się zdarzają, więc summa summarum ciężko jest o jednoznaczna ocenę – podsumowuje.

W opinii Izy, ważne jest jednak wyczucie panującego klimatu, który może być mniej lub bardziej sprzyjający. – Gdybym teraz dowiedziała się, że jestem w ciąży i musiałabym iść na urlop, to mam wrażenie, że spotkałabym się ze zrozumieniem: W porządku, wszystkiego najlepszego, to miejsce będzie na ciebie czekać'. Jest to jednak tylko moje wrażenie. Być może, w tak zwanym międzyczasie, okoliczności zmieniłyby się diametralnie i nie miałabym do czego wracać? – zastanawia się.

Zero szans

Inną perspektywę ma 27-letnia Magda, która jest freelancerką. W czasie studiów pracowała w różnych firmach – dużych, małych, także w korporacji. Od kilku lat postanowiła jednak pracować na własnych zasadach. Taka forma pozwala jej na elastyczne godziny, brak problemów z urlopem, częściową niezależność od innych ludzi. Z drugiej strony, nieraz sama musi wyszukiwać sobie zlecenia i klientów. Nigdy nie jest pewna, czy w danym miesiącu uda jej się zarobić wystarczająco dużo, bo ilość pracy jest sinusoidalna. – Czy zdecydowałabym się teraz na macierzyństwo? W żadnym wypadku! – odpowiada jasno i zdecydowanie.

– Przede wszystkim, często moje zarobki nie wystarczają na utrzymanie mnie samej. Czasami mam genialne miesiące, gdzie zamówienia sypią się jak z rękawa – szczególnie, że mam już stałych klientów, z którymi współpracuję od lat. Nieraz jest jednak na tyle krucho, że gdyby nie mój chłopak, musiałabym się pewnie solidnie zapożyczać. Jak w tym wszystkim miałoby być miejsce na dziecko? – ocenia i nie kryje przy tym frustracji. Podkreśla głównie aspekt finansowy, związany z poczuciem bezpieczeństwa i zapewnieniem stabilności sobie oraz dziecku. Nie sposób jednak nie zapytać o wspomnianego przez nią partnera. – Oczywiście odpowiedzialność za decyzję o dziecku jest równa po obu stronach, ale nie chciałabym być zależna od zarobków mojego faceta. Źle bym się z tym czuła. Na razie nie ma jednak takiego tematu pomiędzy nami i szczerze mówiąc – niezależnie od sytuacji zawodowej – mam wiele wątpliwości, czy w ogóle kiedykolwiek chciałabym być matką.

Aspekt zawodowy vs. aspekt prywatny

Pomimo sprzyjających zawodowych warunków, podobnych planów nie ma na razie też Ola: – Nie widzę trudności w pogodzeniu kariery zawodowej z macierzyństwem. Moje obecne miejsce pracy, czyli instytucja podległa Komisji Europejskiej, jest bardzo przyjazne matkom. Elastyczne godziny pracy, urlopy, niezbędne zwolnienia, ubezpieczenie, dodatek na dziecko – mamy całe spektrum udogodnień. Nie jest to jednak dla mnie argument, ponieważ ja po prostu nie chcę być na razie matką – wyznaje i wysuwa na pierwszy plan przede wszystkim kwestie związane z życiem prywatnym. – Przeszkodą jest zdecydowanie brak kandydata na ojca oraz chęć dalszego studiowania. Moje koleżanki z pracy w większości mają już dzieci lub je planują. Te, które nie zdecydowały się jeszcze na macierzyństwo, mają podobny 'problem' – nie są w stałym związku i/lub skupiają się na swoim rozwoju – dodaje. Związek, partner, wspólne fundusze. Może gdyby zaangażowanie przyszłych ewentualnych tatusiów było większe, także i wizja macierzyństwa naszych bohaterek byłaby inna. – Urlop ojcowski? Dwa, trzy tygodnie owszem. Na dłuższy moi koledzy z pracy się raczej nie wybierają, nigdy nie jest to kilka miesięcy – mówi o swoich korporacyjnych współpracownikach Iza. Ola ma w tym kontekście inne doświadczenia: – Mężczyźni w mojej pracy również mają prawo do urlopu i chętnie z niego korzystają. Większość kolegów ma dzieci. Obserwuję u nich duże zaangażowanie, przynajmniej w wymiarze sprawowania opieki i bycia obecnym w życiu dzieci. Magda pracę freelancerską pod tym względem podsumowuje w dwóch zdaniach: – Mamusie i tatusiowie, którzy pracują na własny rachunek, jadą na tym samym wózku. Mam tylko wrażenie, że szybko odpadają z niego kolejne koła brutalnej rzeczywistości, głównie finansowej.

Do wyboru do koloru

Punkt widzenia zależy od punktu siedzenia – banał, prawda? Jednak w kontekście macierzyństwa sprawdza się w stu procentach. Każda młoda kobieta ma prawo wyboru własnej ścieżki. Zarówno zawodowej, jak i prywatnej. Niestety wielość opcji nieraz utrudnia znalezienie tej jednej, wymarzonej drogi. Grunt to poznać siebie i swoje potrzeby. – Myślę, że gdybym pracowała w małej firmie, to decyzja o dłuższym urlopie macierzyńskim przyszłaby mi łatwiej. Głównie dlatego, że wiem, że chciałabym pracować gdzie indziej. Mała firma nie jest miejscem dla mnie – mówi Iza, która ma szczęście spełniać się w przyjaznej dla niej korpo. Magda po różnych doświadczeniach postawiła na pracę freelancerską i jest świadoma tego, jakie może to nieść za sobą konsekwencje, także w kwestii zakładania rodziny. Ola stawia na razie na rozwój, ale bardzo docenia wsparcie, jakie jej pracodawca oferuje rodzicom. Każda inna, każda podjęła własne decyzje, każda ma odmienną wizję kariery.

#Katarzyna Miłkowska

Drogie Mamy!

Z okazji Waszego święta, życzymy Wam odrobiny zdrowego egoizmu, czasu dla siebie i całej masy małych przyjemności. Żebyście pamiętały przy tym, że perfekcyjne macierzyństwo nie istnieje, a zdanie: „Jestem mamą!" brzmi dumnie!

Pięknego 26 maja życzy, świętujący razem z Wami, Mordor Voice!

ABC korporacyjnego survivalu

czyli jak przetrwać w gąszczu targetów, asapów i FYI

Praca w korporacji to prawdziwe wyzwanie. Nie tylko korzystamy tam z kompetencji czysto zawodowych, czy nabytego wykształcenia, lecz także, aby przetrwać, musimy sięgnąć głębiej, do samej istoty naszego charakteru.

Być może nie jest to survival w dosłownym znaczeniu (w razie błędów nie zostaniemy zjedzeni przez dzikie zwierzę, odwodnienie i śmierć głodowa również nie zapuka w blat służbowego biurka), jednak grozi nam objęcie stanowiska pracownika wykonującego najcięższe zadania.
W skrajnym przypadku możemy ukazać się w oczach przełożonych jako niekompetentni, zbędni lub po prostu bezproduktywni. Jak tego uniknąć?

Przede wszystkim język. Jak najszybciej należy przyswoić sobie podstawowe zwroty, wtedy manager będzie miał wrażenie, że świetnie sobie radzisz. Od tej chwili pracujesz "na florze", wykonujesz powierzone zadania ASAP i realizujesz targety. Nie musisz nawet rozumieć wszystkich skrótów, najważniejsze to używać ich w odpowiednich sytuacjach. Niczym wprawny podróżnik w dziczy, obserwuj, analizuj i upodabniaj się do miejscowych zwyczajów przyrody.

Zapomnij o komunikacji bezpośredniej. Wszystko co ma znaczenie w korporacji, podróżuje pocztą elektroniczną. Podkreślaj każdy etap taska, który ci powierzono. Wysyłaj maile z DW do swoich teamów, niech wiedzą, że ostro pracujesz. Pamiętaj, aby zachować łańcuch władzy w nienaruszonym stanie, nie dodawaj "Do Wiadomości" prezesów, dyrektorów i tym podobnych korpowładców. Podkopywanie autorytetu bezpośredniego przełożonego to ryzykowna taktyka na początek.

Nie siedź cały czas przy biurku! Konsultuj co jakiś czas sprawy z przełożonymi face to face, niekoniecznie wymagające ich wglądu w dokumenty. Muszą to być proste problemy, na które bez kłopotu podsuną ci rozwiązanie. Zostaniesz zapamiętany jako osoba, która liczy się ze zdaniem przełożonego. Jeśli dany team jest akurat zajęty, możesz to wykorzystać:
- Piotrze, mam problem, czy mógłbyś…? O, przepraszam, widzę, że jesteś zajęty. Wrócę później, jeśli nie uda mi się rozwiązać case'a.
Każdy korpopracownik, niezależnie od stanowiska ,przyjmie darmowe podkreślenie tezy: "Ciężko pracuję, jestem zajęty".
Warto wyróżniać się pracowitością, ale niezbyt mocno. Podkreślaj swoją rolę w projekcie, jednocześnie nie daj się poznać jako pracoholik, inaczej leniwe bestie rzucą się na ciebie i rozerwą dodatkowymi obowiązkami. Dowiedz się, ile powinno trwać wykonywanie określonych zadań i dostosowuj tempo swej pracy do oczekiwań. Gdy manager chce zlecić ci dodatkową robotę, zawsze podkreślaj co obecnie robisz i sugeruj, że będzie to trudne, ale dasz radę odhaczyć nowego case'a. Pamiętaj: Jesteś zawsze zajęty!

Korpo - słownik:
target - cel do osiągnięcia, określony współczynnik wykonania
ASAP - Ass soon as possible - jak najszybciej, na cito
FYI - For your information - do twojej wiadomości
na florze - na piętrze
case - zagadnienie, przypadek do rozwiązania
task - zadanie do wykonania

#Albert Kosieradzki

Nie dajmy się zwariować

Szef jak szpieg (Undercover Boss US) - to tytuł programu, w którym szefowie korporacji, dużych zakładów, zatrudniają się incognito na różnych stanowiskach, aby dowidzieć się jak naprawdę wygląda praca w kierowanych przez nich organizacjach. Mniej spektakularna forma inwigilacji odbywa się w każdym przedsiębiorstwie i niestety nie służy tylko gromadzeniu danych potrzebnych do analizy „czysto" ekonomicznej.

„Era współczesna, często nazywana Wiekiem Informacji, nigdy nie bywa nazwana Wiekiem Wiedzy. Informacja nie przekłada się bezpośrednio na wiedzę. Musimy ją najpierw przetworzyć - dotrzeć do niej, przyswoić, zrozumieć, scalić z informacją już posiadaną i utrzymać" (Robert B. Cialdini).
No tak, tylko w myśl zasady „od przybytku głowa nie boli", gromadzi się mnóstwo danych, wkraczając tym samym w sferę prywatności. Otrzymaną widzę powinno się wykorzystywać w sposób transparentny, a nie tylko po to, by prezentować wyniki przemawiające na niekorzyść pracowników, a przemilczać dane wskazujące na ich osiągnięcia.. O tych, które wskazują na łamanie ich praw nawet nie wspominam.
GPS służy jako rejestrator trasy przejazdu, sprawdza, czy nie zjeżdżamy na manowce, bo przecież samochód to też narzędzie pracy, własność firmy, a o swoje trzeba dbać. Być może ktoś z działu logistyki przeanalizuje twój przejazd, zaproponuje optymalizację, podpowie jak podróżować efektywnej – to bardzo optymistyczny scenariusz.
Teraz popuśćmy wodze fantazji: kadrowa przeanalizuje czas pracy, zaproponuje wypłacanie nadgodzin. Hmm, nie zrobiła tego jeszcze, pewnie przeoczyła, warto dopytać.

Zapewne usłyszysz w odpowiedzi : jaki GPS, jakie nadgodziny? Trzeba tak zaplanować pracę, ażeby wyrobić się w ośmiu godzinach.

Niestety urządzenie GPS jest wyposażone w funkcję „my boss only". Dla ciebie ono nie istnieje, szef „zapomniał „ poinformować" o zainstalowaniu takowego wyposażenia, chyba, że rozładuje ci się akumulator. Wtedy może nastąpić reset, taka awaria fantomowa, urządzenia nie ma, a jednak się psuje. Teraz już wiesz co praktycznie masz w samochodzie, a teoretycznie o tym nie wiesz.

Dodatkowo, wiedza o tym, jak spędzamy przerwę, w której restauracji, barze, czy stacji paliw się stołujemy, podpada pod praktykę „pliki cookies". Nasze preferencje to sprawa prywatna.

Monitoring i rejestracja dźwięku – w tym przypadku działanie sprzętu również nie jest tak jednowymiarowe jak mogłoby się wydawać. Oczywiście jego podstawowe zadanie to pomoc w identyfikacji osób naruszających zasady bezpieczeństwa, dopuszczających się kradzieży. Służy jako narzędzie pomocnicze w sporach pomiędzy pracownikiem firmy a klientem, gdy mamy do czynienia z sytuacją „słowo przeciwko słowu". Niestety trzeba się zastanowić, czy małe pomieszczenie socjalnie musi być wyposażone aż w sześć kamer? Jaki jest zasięg rejestratora dźwięku? Porozumiewanie się za pomocą karteczek, jak za czasów podstawówki, budzi grozę, a przecież każdy ma prawo na wyrażenie nawet najbardziej niewybrednej opinii o przełożonym bądź firmie w rozmowach prywatnych.

Komputer/Laptop - używanie tegoż urządzenia do celów prywatnych jest mało profesjonalne, choć nie mówimy o permanentnym siedzeniu na FB, tylko na przykład o wysłaniu jednej prywatnej wiadomości e-mail w ciągu dnia. Tajemnica korespondencji nie może przestać obowiązywać, gdy szef ma zapędy szpiegowskie i postanowi zainstalować oprogramowanie pozwalające realizować mu tę pasję. Mam nadzieję, że tylko w sferze teorii spiskowych, pozostaje możliwość śledzenia pracownika za pomocą kamerki. Do czego mogą się przydać informacje zdobyte w ten sposób? Przełożony dowie się czy jesteśmy obecnie „zasmarkani", ile razy w ciągu tygodnia oblejmy się kawą, czy pożądliwie spoglądamy na koleżankę. Jeżeli jeszcze zabieramy robotę do domu, to może wyjść na jaw, że defilujemy nago po mieszkaniu.
Budowanie zaufania to procesu długotrwały, czasochłonny, poczucie życia w rzeczywistości Orwellowskej nie przyczyni się do końcowego sukcesu. Wielki Brat to taki członek rodziny, z którym pracownik pożegna się beż żalu.
Szefowi, który koniecznie chce poczuć emocje jakich doświadczała Mata Hari, rekomenduje się udział w programie Agent lub skorzystanie z oferty escape roomu.

 # Torcida230

Musimy sobie stawiać hajer ekspektejszyns. O korpoabsurdach

Nie ma nic odkrywczego w stwierdzeniu, że funkcjonowanie korporacji rodzi szereg absurdów. Dla wielu to codzienność, do której można się przyzwyczaić w przyspieszonej biurowej ewolucji lub rwać włosy z głowy i tracić nerwy w reakcji na nią.

Niedorzeczne są:
wyśrubowana rywalizacja, ewidencja wyjść do toalety czy ciągłe tłumaczenie się przełożonym z podejmowanych działań. To tylko wierzchołek góry lodowej, istota tego, co absurdalne w korporacjach leży głębiej. Zanurzmy się tam razem.

Cofam się do czasów mojej pierwszej pracy. Biuro międzynarodowej firmy mieści się na rubieżach Mordoru. Nie jest istotne jakie to miasto, Mordor już dawno przestał być wyłącznie współczesnym określeniem biurowej dzielnicy Warszawy: to zjawisko, którego absurd jest integralną częścią. Właśnie skończyłem studia, praca mnie szokuje, a w niej zwłaszcza nadgorliwość pewnych współpracowników. Jestem minimalistą i wychodzę z założenia, że jeśli coś wystarczy do osiągnięcia celu, to wystarczy. Moją pracę organizuje system. Przez duże S. Jest niezawodny. Włączam go rano i na jego podstawie organizuję działania zespołu. Dzięki Systemowi mam więcej czasu na pracę i kawę w przerwach od niej. Lecz licho nie śpi: szefowa ma plan! Chce wykazać się kreatywnością, więc zleca działowi aj Ti stworzenie eksela, który będzie zrzucał dane z Systemu. Dla pewności i rzetelności - tłumaczy.
Szefowa (przez małe s) stworzyła eksel (przez małe e), który dubluje pracę Systemu. Starsza
stażem koleżanka podpowiada mi, że to karierowiczka, że musi wpisać sobie coś w si wi. Przekazuję zatem szefowej, że eksel niepotrzebny, mało tego, wcale nie jest rzetelny, bo nie odzwierciedla wszystkich danych z Systemu, i że jego analiza to dodatkowe dwa kwadranse przed monitorem. Szefowa uparcie obstaje przy swoim. Następny dzień rozpoczynam od Systemu i eksela, następnie komentuję stan w tym samym duchu coraz mniej kurtuazyjnie zapodawanej krytyki. Szefowa jest nieprzejednana. Kolejne dni to seria porannych deja vu, które powodują we mnie coraz silniejszą nerwowość. W końcu biorę sprawy w swoje ręce. Eksel kasuję i czyszczę kosz.
Dla uwolnienia się od bezcelowych dyskusji z szefową zapewniam, że korzystam z obydwu narzędzi, tak jak instruowała. Chodzi dumna jak paw, niepomna tego, że dołożyła podwładnemu pół godziny zadania, pozbawionego jakichkolwiek podstaw racjonalności. Tylko dzięki własnej rezolutności te pół godziny odzyskuję. Narzędzie, którego pomysłodawczynią była przełożona zarasta kurzem, ona sama zaś zostaje wkrótce awansowana.

Zdiagnozowałem w tym zamieszaniu trzy absurdy, które, niczym papierek lakmusowy, pozwalają mi dookreślić, czym jest Mordor.

Po pierwsze, przełożeni wywierają nacisk na podwładnych, aby ci korzystali z narzędzi nie tylko zbędnych, lecz wręcz szkodliwych z punktu widzenia należytego wykonywania powierzonych obowiązków. Wpisywanie tych samych danych w kilka tabelek, bo tak życzy sobie szefostwo, raportowanie każdego podjętego kroku, spotkania zespołu, podczas których każdy opowiada o swoich problemach, skutecznie zanudzając resztę zespołu, podczas gdy menedżment ciągle wierzy w pedagogiczną funkcję takich pogadanek, jest pozbawione sensu.

Po drugie, na forum działu, szefowa przedstawia eksel, swoje cudowne dziecko, jako krok ku świetlanej przyszłości kolejnych zastępów analityków, co stanowiło cegiełkę w gmachu jej awansu.

Na całe szczęście, nie zaprosiła mnie do zabrania głosu, dzięki czemu - i tutaj po trzecie - udaje mi się uniknąć publicznego ustosunkowania się do jej przedsięwzięcia. Nie przeczę, przyjąłem to z ulgą, czym zapewne dowiodłem konformizmu, ale cóż, zachowanie cywilnej odwagi na gruncie korporacyjnym łatwe nie jest.

Nikt z przełożonych szefowej nie zweryfikował jej poczynań, ja zaś, kiedy wyobrażałem sobie samego siebie w roli inicjatora takiej pogadanki, miałem się za niedoszłego denuncjatora.

Azylem długo czas były dla mnie wycieczki do automatu. Na hasło „idziemy na kawę", wciskałem łindoł el i maszerowałem do kuchni, aby oddać się towarzysko gronu współpracowników. Była to też szansa na ucieczkę od korpomowy. Za mną zostawał bełkot Mordoru z jego ołpen spejsem, kejsami, targetem, ridżektowaniem, forłardowaniem i czelendżowaniem też.

Kiedy jednak pewnego razu koleżanka rozpoczęła rytuał pogaduch przy kawie informując, że ma iśsiu ze swoim sześcioletnim synem. Zdrętwiałem. Nie mogłem już liczyć na azyl w kuchni. Przypomniałem sobie wtedy, jak po raz pierwszy przekroczyłem próg korporacji. Od razu zostałem wtedy skierowany na trening. Co będziemy trenować - myślałem. Odpowiedź dostałem bardzo szybko: korporacyjną nowomowę. Z każdym dniem rozumiałem coraz więcej, coraz bardziej nie dowierzając temu co słyszę. Słownictwo i składnia wwiercały się w mój mózg. „Paweł, czy możesz anulować tę sprawę?" – zapytałem pewnego razu kolegę z zespołu. Czoło Pawła zdradzało intensywne myślenie, oczy wyrażały niepewność co do zrozumienia prośby. „W sensie mam skanselować tego kejsa?" Dju dilidżens pełną gębą, kolega chciał dotrzeć do istoty komunikatu, udało mu się.

Anglicyzacja języka branżowego w biurach Mordoru osiągnęła skalę absurdu. Początkującemu pracownikowi przydałby się w pakiecie powitalnym słowniczek, aby móc szybko odnaleźć się w świecie ołpen spejsa, najeżonego nieoczywistymi wyrażeniami i zbudowanymi w niejasny sposób zdaniami. Być może jest to przyszłość języka (przeszywa mnie dreszcz trwogi), hu nołs. Być może to, co dzisiaj określam mową absurdalną, kształtuje jutrzejszy standard języka, a ja bojkotuję to wyzwanie.

„Musimy sobie stawiać hajer ekspektejszyns", jak to motywowała i czelendżowała mnie kolejna szefowa. Przy okazji obwieszczała zazwyczaj, że potrzebne będą nadgodziny, bo nie
wyrabialiśmy targetu. W reakcji wszyscy błądzili wzrokiem po suficie. Szefowa wywoływała każdego z imienia. Padały wymówki wszelakiego kalibru, od zumby przez wizyty u lekarzy, po wybór sukni ślubnej. Pewnego piątku w sposób asertywny i grzeczny Ewa odpowiedziała: „Nie jestem zainteresowana". Szefowa wyprostowała się. Nie spodziewała się takiej bezpośredniości. „Ale zapłacę ci za to" - skomentowała. „Nie jestem zainteresowana dodatkowymi pieniędzmi" - ripostowała Ewa. Udało jej się zasiać ziarno fermentu, które ja obficie podlałem, mówiąc głośno to, co wszyscy wiedzieli, a co nigdy nie zostało powiedziane głośno. Opieszałość szefowej w poszukiwaniu pracowników na dwa wakaty kosztowała nas ogrom wysiłku. Kilka miesięcy wcześniej z dziesięciorga zostało nas ośmioro, nawał pracy się nie zmienił, ekspektejszyns pozostały te same. Szefowa zaimplementowała strategię nadgodzin w celu rozwiązania problemu niedotrudnienia, oczekując intensywnego zaangażowania ze strony pracowników, kosztem ich czasu wolnego. Zespół podjął tę kwestię, doprowadzając do otwartej dyskusji. Po dwóch miesiącach powitaliśmy dwie nowe koleżanki. W tym czasie odeszło trzech kolegów.

Korpopracownik może mieć pewną trudność w wyjaśnianiu biurowych absurdów
osobie spoza Mordoru ze względu na tę fatalną nowomowę. Za jej przyczyną nadgodziny stają się ołwertajmem, jakby nowym zjawiskiem, co może rozpraszać zdolność identyfikacji istoty problemu. Wyrobienie targetu to mantra kadry menadżerskiej, nieważne czy pracownikom para bucha z uszu, komórka w ekselach musi się zazielenić. I to w wielu, jeden to stanowczo za mało.

Absurd jest kwintesencją Mordoru, jest jego jądrem, wokół którego krążą protony i elektrony. Krążą dynamicznie, wyzywająco, czasem bez sensu, niosą wyzwania, pot czoła i znój. Mordor, to już nie tylko Tolkienowska kraina zła, to nie zakorkowana i przeszklona biurowcami dzielnica Warszawy. Z tym wydaniem Mordorem nazywamy już stan umysłu i relacji, jakie niechybnie stają się udziałem pracowników zmagających się z absurdami korporacji.

#Mat Bum

REKLAMA

KORPOMAMA

Mówisz, że potrzebujesz wakacji?

Przynajmniej raz w roku przychodzi taki moment, że masz już wszystkiego dość i najchętniej schowałabyś te niedokończone raporty, niekończące się projekty, nieodhaczone maile i niezaktualizowane dane, głęboko do szuflady. Niewygodne szpilki odstawiłabyś do szafy, założyłabyś sandałki, rozpuściłabyś włosy i udałabyś się prosto z biura na lotnisko. Tam kupiłabyś bilet i kilka magazynów kobiecych. Telefon wrzuciłabyś głęboko do torby przed samym wejściem do samolotu. Wsiadłabyś, zamknęłabyś oczy i po kilku godzinach znalazłabyś się po drugiej stronie lustra, w rzeczywistości alternatywnej, gdzie problemy nie istnieją, gdzie śniadanie podają rano do łóżka, gdzie bosą stopą można wyjść na ciepły taras, bo od samego rana świeci słońce, panuje cisza i gdzie nikt niczego od ciebie nie oczekuje, nie żąda, nie wymaga. Decyzja o tym, czy drink ma być z marakui czy z ananasa wydaje się najcięższą w tym tygodniu. Po śniadaniu poszłabyś na spacer, na zakupy, wypiłabyś najpyszniejszą w świecie kawę i zjadła sama (!) wielkie ciastko. Po lunchu położyłabyś się na leżaku nad basenem i czytając książkę, popijając pyszne kolorowe drinki z parasolką przeleżałabyś tam aż do wieczora. Kolejnego dnia podobnie. I kolejnego też. A czwartego dnia, albo dziesiątego, jak już przeczytałaś wszystkie dostępne książki i gazety w znanych ci językach i w zależności od tego jak bardzo twoja wewnętrzna bateryjka już była rozładowana, zaczęłabyś zauważać rzeczy, które spodobałyby się twoim dzieciom.

W tym basenie mogłyby się popluskać. Tu w piachu mogłyby zbudować wielki zamek, a te kamienie, ale by im się spodobały! Zrobilibyśmy z nich okna i płot! Przy krewetkach zjadanych na lunch zaczęłabyś się zastanawiać, co maluchy mają dziś na obiad. Ciastka zjadłabyś tylko pół, bo za słodkie, a kawa miałaby trochę bardziej gorzki smak. Czujesz to? Słyszysz? To wyrzuty sumienia zaczynają swój pochód przez twoją głowę. Bo przecież wakacje powinno się spędzać z dziećmi, z rodziną. Wracasz więc do domu i zaczynasz planować wspólny wyjazd. Tu jeden bilet nie wystarczy. Jedna torba to też za mało. Pakujecie więc kilka walizek, kilka toreb, dwa plecaki i trzy worki. Ze wszystkim jedziecie na lotnisko, ale zaraz wracacie, bo zapomnieliście dmuchanego pontonu i wywrotki. Nadajecie ponadwymiarowy bagaż, i gdy walizki odjeżdżają na taśmie masz ochotę usiąść tam z nimi i pojechać do cichego luku bagażowego chociaż na czas lotu. Czas lotu to horror. Dla rodziców, dla dzieci, dla innych pasażerów. Najpierw się modlisz, żeby dzieci się nie darły na cały głos, potem, żeby nie wywaliły ci tego jedzenia na kolana i żeby nie rozlały picia. Potem, żeby chociaż na chwilę się czymś zajęły i żeby ludzie dookoła przestali na ciebie patrzeć TAKIM WZROKIEM. Dobra, dolecieliście. Teraz musisz mieć oczy szeroko otwarte przez cały czas, bo jedno dziecko właśnie odpływa ci w kole ratunkowym w stronę Afryki, a drugie pobiegło za piłką w tłum ludzi na plaży. Mąż opala plecy, ma słuchawki w uszach i zamknięte oczy, więc budzisz go i prosisz o interwencję przy jednym z dzieci, po czym rzucasz się na ratunek drugiemu.

Takie sytuacje mają miejsce przynajmniej kilka razy dziennie, wiec poziom adrenaliny masz wysoki, kawa nie jest ci już do niczego potrzebna. Drinków nie pijesz, bo przecież musisz zachować trzeźwy umysł. Wieczorem zasypiasz, czytając dzieciom bajkę, na łóżku z dostawki. Gazety, które sobie kupiłaś przed wyjazdem nadal są w folii. Twoja twarz wygląda jak burak, bo zapomniałaś ją posmarować, za to ręce, jakbyś się opalała w rękawiczkach, bo przecież dzieci posmarowałaś wysokim filtrem. I przychodzi taki moment, że masz wszystkiego dość, i tych potarganych włosów wysuszonych słońcem, i tego piachu w majtkach, i tego noszenia wielkich toreb na plażę, niewygodnych klapek japonek i jedyne o czym marzysz to chłodne, klimatyzowane biuro, spokojnie wypita kawa w conference roomie i nowe szpilki.

#Magda Seko

KORPOTATA

Korpomama

Mama, mama... to słowa, które rozpoczynają i kończą każdy nasz dzień, zarówno w ciągu tygodnia pracy, kiedy wszystko odbywa się na wariackich papierach, jak i w weekendy, kiedy chcielibyśmy dłużej pospać, ale nigdy się to nie udaje.

W zależności od pociechy, słowa te mogą być jedynie elementem składowym zdania wielokrotnie złożonego, gdzie podmiot jest z góry wiadomy lub całkowitą i jedyną formą komunikacji. Swoją drogą, nigdy wcześniej nie sądziłem, że słowo „mama" może mieć tyle znaczeń i jak wiele da się odczytać z niego przez młodego.

„Mama" może mieć znaczenie przywołujące, skarżące, wymuszające, rozbawiające lub nawet wyrzucające i karcące. Nieraz już słyszałem charakterystycznie wypowiedziane „mama!" wsparte odpowiednią gestykulacją, natężeniem głosu i miną, w sytuacji, kiedy na coś się nie zgadzaliśmy. Niezależnie od ilości znaczeń, jedno jest pewne, bez mojej kochanej małżonki, która jest jednocześnie mamą naszej cudownie wrednej dwójki, nasz dom nie funkcjonowałby tak jak należy, o ile w ogóle by funkcjonował.

W naszym przypadku mama jest gwarancją tego, że wszystko działa. Moja małżonka często twierdzi, że jest wielofunkcyjnym robotem domowym, z czym zupełnie nie potrafię się zgodzić. Jak dla mnie jest kimś niezastąpionym i nie ze względu na to, że ma mi kto ogarnąć kwadrat i dzieciaki, ale ze względu na to, że to od niej uczę się, jak być rodzicem. To ona ma w sobie nieograniczone pokłady ciepła, bezwarunkowej miłości i gigantycznej cierpliwości, której mi zdecydowanie zbyt często brakuje. Wbrew pozorom niewielu z nas, korpoojców, zdaje sobie sprawę, jak wiele wysiłku ze strony mam potrzeba, aby pogodzić wszystko ze sobą i jak trudno jest być idealną mamą w dzisiejszych czasach, jak ciężko jest stosować procedurę Ctrl C, Ctrl V, przy jednoczesnym obmyślaniu listy zakupów i menu na najbliższy tydzień.

Nie jest też łatwo wychodzić rano do pracy, kiedy dzieciaki na widok opiekunki krzyczą „Sio!" i trzaskają drzwiami. Wiemy też, jak ciężko jest oderwać dziecko od nogi, kiedy w przedszkolu wpada w histerię, a wy spieszycie się na spotkanie.

Na pocieszenie powiem wam jedno:, drogie mamy: dla swoich dzieciaków, to wy zawsze będziecie najlepszymi mamami pod słońcem i to was będą wołały o każdej porze dnia i nocy. To na was będą polegały przez całe życie.

Większość z nas, korpoojców, wie również, że niezależnie, czy jesteście korpomamami, które muszą pogodzić sprawy zawodowe z domowymi, czy - jak niektórzy mawiają „odpoczywacie" na urlopie macierzyńskim, wychowawczym, czy innym - wasz etat trwa całą dobę i rozpoczął się wraz z dniem, kiedy na świecie pojawił się potomek.

Wychowywanie dzieci, to ciągła praca, w której przełożony jest wiecznie niezadowolony i bardzo wymagający, często powtarzamy te same schematy, procedury przez pierwsze lata się nie zmieniają, a później odbywa się jedna wielka improwizacja, zupełnie jak w niejednej korporacji. Nie ma tu mowy o strategii, procesie czy produktach, jedyne co się może przydać to zarządzanie czasem oraz zarządzanie kryzysowe, bo ciągłe zmiany to pewnik. Wielu z nas, nie raz przedstawiało wyniki wielogodzinnej pracy przełożonemu, któremu nic się nie podoba i sam nie wie czego chce. Panowie, wiedzcie, że każda matka ma takiego szefa na co dzień, potrafi przygotować pięć różnych posiłków i co gorsza każdy może wylądować na podłodze. Etat mamy, to niewątpliwie najtrudniejszy etat na świecie, a dom to korporacja bez zasad. Ja ze swojej strony każdej matce dałbym z miejsca potężną premię, awans i liczny zespół wybitnych specjalistów do pomocy, bo każda na to zasługuje.

Z pozdrowieniami i najlepszymi życzeniami od

#Korpotata

www.korpotata.com

REKLAMA

Horoskop

WODNIK (20 I-18 II)
Twoja korpo ogłosi konkurs na najlepszego handlowca. Zadaniem będzie sprzedaż jak największej liczby długopisów. Pod koniec miesiąca okaże się, że poszło ci dużo lepiej niż kolegom. Jeszcze przed ogłoszeniem wyników zdążysz wydać pieniądze, które uzyskałbyś z premii. Niestety popełniłeś drobny błąd. Zadaniem było sprzedać długopisy z czarnym wkładem, a ty sprzedałeś wszystkie z niebieskim.

RYBY (19 II-20 III)
W ostatnim czasie będziesz wyjątkowo kłótliwy, zajdziesz za skórę wszystkim kolegom z teamu i stracisz na dotychczasowej popularności. Postanowisz upiec ciasto na przeprosiny, jednak nikt go nie zje, z obawy przed tym, że dodałeś arszenik. Odpuść trochę, bo złość piękności szkodzi.

BARAN (21 III-20 IV)
Twoja CFO ma ostatnio nie najlepszy humor, postanowisz go jej poprawić delikatnym flirtem. Wprawdzie dzięki tobie szefowa zacznie przychodzić do pracy uśmiechnięta, ale już nie będziesz mógł się opędzić od jej maślanych oczu. Okazuje się, że kobieta podkochiwała się w tobie już od dawna. Pozostaje ci albo wdać się w romans, albo zmienić pracę.

BYK (21 IV-21 V)
W tym miesiącu otrzymasz 145679 maili, każdy zaczynający się skrótem „FW". Weź przykład z firmowego lizusa i po prostu forwarduj połowę z nich dalej. To twoja jedyna szansa, aby nie ugrzęznąć w pracy na noce. Uważaj na blondyna z marketingu - jest kapusiem.

BLIŹNIĘTA (22 V-20 VI)
Dojdziesz do wniosku, że praca, którą wykonujesz uwłacza twojej godności i kategorycznie zażądasz podwyżki. Przy tej okazji pokłócisz się z szefem, który postanowi cię zwolnić. W efekcie będziesz błagał o możliwość pozostania w firmie, szef zgodzi się na to, ale pod warunkiem, że będziesz pracować za połowę dotychczasowego wynagrodzenia. Gwiazdy doradzają zmianę branży.

RAK (21 VI-22 VII)
Przez przypadek włożysz do niszczarki dokument z briefem do nowego projektu. Wiesz, że jesteś ostatnio na cenzurowanym, więc postanowisz pieczołowicie posklejać wszystkie puzzle z niszczarki w całość. Szczęśliwie zbliża się upragniony weekend, więc będziesz mógł go w pełni wykorzystać na zajęcia dekupażu.

LEW (23 VII-22 VIII)
Dostaniesz akcept dużego projektu oraz termin wykonania – ASAP. Zarwiesz kilka wieczorów i weekendów, ale się opłaci, gdyż na koniec miesiąca na twoim koncie pojawi się jedno zero więcej. Uradowany pójdziesz podziękować przełożonemu, jednak po jego zdziwionej minie rozpoznasz, że to nie premia, a błąd księgowości.

PANNA (23 VIII-22 IX)
Zostaniesz przyłapany przez koleżankę z teamu na ucinaniu sobie drzemki w trakcie godzin pracy. Koleżanka nie wyda cię przed przełożonym, jeśli obiecasz, że przez miesiąc będziesz jej przynosić obiady do pracy. Wejdziesz w ten układ, a jeszcze tego samego wieczoru popędzisz na przyspieszony kurs gotowania, gdyż do tej pory potrafiłeś jedynie przypalić wodę na herbatę.

WAGA (23 IX-23 X)
Recepcjonistka w twojej korpo zaweźmie się na ciebie i zacznie odnotowywać każdą minutę twoich porannych spóźnień. Gdy zacznie cię szantażować, zakradniesz się podstępem do jej recepcyjnego biurka i dobudujesz do niego wysoki kontuar z cegieł, aby nie mogła zobaczyć o której przychodzisz do pracy.

SKORPION (24 X-21 XI)
Na dwa dni przed planowanym od dawna urlopem zostanie ci przydzielony kejs, którego ukończenie zajmie kilka tygodni. Dostaniesz ultimatum – albo pracujesz podczas urlopu, albo możesz pożegnać się ze stanowiskiem. Wybierzesz pierwszą opcję, ale nie omieszkasz napluć szefowi do porannej kawy.

STRZELEC (22 XI-21 XII)
Podczas tradycyjnego odsiadywania nadgodzin, w twojej korpo padnie prąd i nie będziesz mógł się wydostać z biura. Postanowisz przenocować na podłodze, a legowisko ułożysz z własnych ubrań. Rano porządnie zaśpisz, a wszyscy pracownicy dojeżdżający do biura będą mieli okazję podziwiać twoje wdzięki w pełnej okazałości
.

KOZIOROŻEC (22 XII-19 I)
Pan Kanapka zacznie dorzucać do twoich posiłków małe bukieciki kwiatów oraz czekoladki. Tym sposobem będzie próbował dać ci znać jak bardzo mu się podobasz. Koledzy w firmie będą cię namawiać na randkę z Panem Kanapką i wynegocjowanie zniżek dla całej korpo. Wenus w znaku Neptuna sprzyja zarówno miłości, jak i finansom.

#Wróżbitka Maciejka

DZIENNIKARZ OBYWATELSKI MORDRU POSZUKIWANY

JESTEŚ LUB BYŁEŚ PRACOWNIKIEM KORPO?
MASZ LEKKIE PIÓRO I CHCIAŁBYŚ SIĘ PODZIELIĆ REFLEKSJAMI?

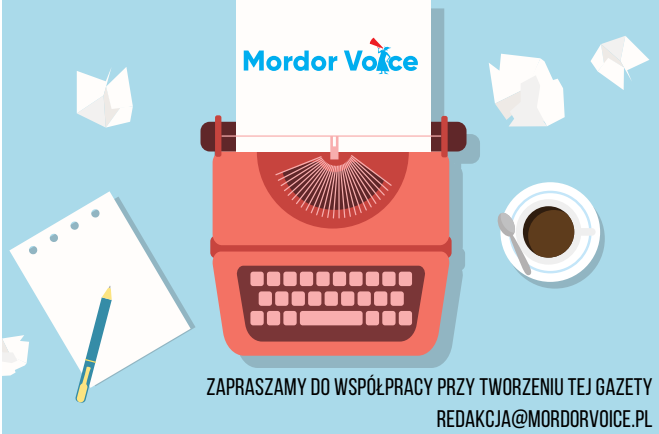

ZAPRASZAMY DO WSPÓŁPRACY PRZY TWORZENIU TEJ GAZETY
REDAKCJA@MORDORVOICE.PL

Mordor Voice

Redaktor Naczelna
Justyna Szawłowska

Wydawca
Mordor Voice
Justyna Szawłowska
Ul: Wróblewskiego 67
05-250 Radzymin

Mail: redakcja@mordorvoice.pl
www.mordorvoice.pl

REKLAMA

www.echo.com.pl

BIURA DOPASOWANE DO **CIEBIE**

Realizujemy projekty biurowe klasy A w sześciu największych miastach w Polsce. Naszymi najemcami są czołowe polskie i światowe marki. Wiemy, że nowa powierzchnia biurowa to kluczowa inwestycja dla biznesu - dlatego jako doświadczony i pewny partner czuwamy nad tym, aby Twoje nowe biuro było dopasowane do Ciebie i Twoich potrzeb.

ECHO investment | **Space for Leaders.**